MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 35 WARSZAWA, 1 PAŹDZIERNIKA 1926 R. CENA NUMERU 1 zł.

KRYZYS RADYKALNEJ INTELIGENCJI

WARTO się przyjrzeć temu, w co wierzyła i w co wierzy nasza radykalna inteligencja, jakim przeobrażeniom podległy jej poglądy na życie społeczne w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu. Wielu ludzi, którzy wchodzili w życie czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu, pozostało wiernych ideałom młodości; muszą oni jednak stwierdzić z boleścią, że te hasła, które przedtem z wielką siłą przemawiały do uczucia, dzisiaj nie mają żadnej siły przyciągającej dla młodego pokolenia, a nawet i wśród starszych tracą swój walor.

Naprzykład wiara w „postęp"! Był czas, kiedy przymiotnik „postępowy" starczył za program, gdy miał dużą siłę suggestyjną; w jednych budził dumę, w drugich niechęć, a nawet i nienawiść. Dzisiaj ten wyraz jest już pozbawiony dawnej treści. Mówi się jeszcze o postępowych żydach, którzy jedzą mięso w sobotę, o postępowej uprawie roli; żaden jednak kierunek polityczny nie wywiesza tej nazwy. Rzecz zupełnie zrozumiała. Wierzono dawniej w automatyczny postęp cywilizacji, w wielką siłę nowych doktryn, wyzwolonych z przesądów. Toczyło się zawziętą walkę z Panem Bogiem i do tej walki zapalały się umysły. Dzisiaj z Zachodu, zamiast optymistycznej wiary w postęp, przychodzą pesymistyczne nastroje. Pisze się dużo o upadku cywilizacji zachodniej, o niebezpieczeństwach, zagrażających dawnemu stanowisku Europy. W zakresie kultury umysłowej i moralnej w wielu krajach najbardziej fanatyczny zwolennik postępu musi stwierdzić cofanie się wstecz; i gdy nawet i „postępowcy" wzdychają do dawnych, dobrych czasów, trudno, by mogli żywić dawną młodzieńczą wiarę. A ponieważ nasza radykalna inteligencja przejmowała się, w sposób zresztą dość powierzchowny, ideami Zachodu, nic dziwnego, że dzisiaj coraz mniej mówi się o postępie, a w każdym razie patrzy w przyszłość bardziej czarno, niż patrzyło się kilkadziesiąt lat temu. W ten sposób jedno z dawnych bożyszcz zostało strącone z wysokiego piedestału.

Drugim zasadniczym pierwiastkiem poglądu na świat tych ludzi była wiara w lud, w proletarjat, w cudowne siły, które tkwią w t. zw. „niższych warstwach społeczeństwa" i które wspaniale się objawią, gdy tylko nastąpi polityczne i społeczne wyzwolenie tych warstw. Wiara ta była bardzo płytka. Doskonale scharakteryzował ją St. Brzozowski w swoim „Pamiętniku": „Wierzy się w lud. W istocie nie wierzy się tylko w siebie. Ale wierząc w lud zyskuje się mistyczny grunt dla nadziei i programów politycznych, za które myśl nie pozwoliłaby nam przyjąć odpowiedzialności jako za własną działalność. Tam, gdzie widzimy niemożliwość i braki, tam wysuwa się mglista myśl, że na tem właśnie przecież polega posłannictwo ludu, że on dokonać zdoła rzeczy, których my nie umiemy nawet pomyśleć. Wolno więc nam mieć wiarę dziejową nie mając woli". Po wojnie lud doszedł do władzy. I co się okazało?

Niejeden radykalny inteligent, który przed wojną roznosił broszurki polityczne po wsiach i przedmieściach robotniczych, inaczej sobie wyobrażał „wyzwolenie ludu". Lud ten okazał się chciwym na ziemię, pragnie podwyżek płacy, ale bynajmniej nie podziela tego idealizmu politycznego, który żywili jego radykalni nauczyciele. Doświadczenie dowiodło, że w ostrej walce pracy z kapitałem padają najpierw ofiarą walory kulturalne, obniża się znaczenie pracowników umysłowych, ich skala życia. Oczywiście ostudziło to entuzjazm radykalnej inteligencji. A przytem jej praca nad ludem była tylko przygotowaniem materjału dla żywiołów bardziej radykalnych, stworzyła podatne podłoże pod skrajnie klasową agitację, która zwraca się przeciw „burżujom" we wszystkich ich postaciach. W ten sposób radykalna inteligencja zawisła w powietrzu i straciła oparcie wśród mas, ku którym zwracała swoje nadzieje. Próbowała zorganizować się odrębnie, ale bez wielkiego powodze-

nia, naśladując tylko biernie socjalistyczne metody walki o poprawę bytu.

Źródłem kryzysu duchowego tych sfer była także i kwesta żydowska. Radykalna inteligencja była zwolenniczką asymilacji Żydów; rzecz to zrozumiała, bo przecież na jej czele stali Żydzi. Ale gdy masowa asymilacja okazała się fikcją, musiało ujawnić się rozczarowanie. Prócz tego pozorna asymilacja wielu Żydów, którzy nadal pozostali Żydami, wywołała reakcję wśród bardziej uczciwych i narodowo czujących żywiołów, propagujących dotychczas asymilację. Zjawił się „antysemityzm postępowy", który nie mógł się godzić z naczelnemi założeniami ideowemi obozu radykalnej inteligencji. Ferment ten trwa już dość długo — i niewątpliwie pogłębia on sprzeczności ideowe tej sfery.

Radykalna inteligencja była zawsze zwolenniczką demokracji parlamentarnej. Wierzyła w jej gotowe formuły, ustalone na Zachodzie. Wierzyła w dogmat wieloprzymiotnikowego prawa wyborczego, w zwierzchnictwo ludu i tym podobne artykuły. Rzucała ze swego kącika pioruny na Mussolini'ego za jego zamach antydemokratyczny. Nie chciała uwierzyć w kryzys parlamentaryzmu, wszelką krytykę tego systemu i powszcchnego prawa wyborczego uważała za zamach „reakcji". Ale tymczasem przyszły wypadki majowe, z ich następstwami, w szczególności ze zdyskredytowaniem demokracji parlamentarnej. Nic dziwnego, że na tem tle powstał chaos i zamieszanie. Jedni ujmowali się za zgwałconą demokracją, inni milczeli, inni wreszcie z zapałem neofitów nawrócili się na dyktatorski i anty parlamentarny pogląd na świat. Żywioły te dzięki wypadkom tym doszły do władzy. Nie dowodzi to jednak, że ich pogląd na życie polityczne jest oparty na trwałych podstawach, że jak mówi niemieckie przysłowie, z urzędem przyszedł „*Verstand*".

Kryzys radykalnej inteligencji trwa dalej. Jedni, mocniejsi charakterem i umysłem, stopniowo odsunęli się od tego obozu. Inni szukają nowych haseł, usiłują stare „postępowe" naczynia napełnić nowem winem. Ogół jednak, gdy runęły dawne bożyszcza, znalazł sobie nowe. Zamiast kultu idei, które wyznawało się całe życie, a które nie wytrzymały próby życiowej, zjawił się kult jednostki, kult Józefa Piłsudskiego. I jeżeli dziwi kogo fanatyzm, z którym wielu radykalnych inteligentów odnosi się do tej osoby, to trzeba nie zapominać o tem, że ta wiara w jednostkę stanowi ostatnią ostoję dla wielu skołatanych umysłów, które już nie mają w co wierzyć. I nic dziwnego, że często ta wiara wyraża się w formule: *credo quia absurdum est.*

Wiara w osobę jest zupełnie zrozumiała w dzisiejszych czasach, w których odbywa się poszukiwanie autorytetu, w których dość często woła się o dyktatora. Wiara w osobę może ułatwić działalność obozowi, znadującemu się w opozycji: można wtedy skupić najrozmaitsze żywioły, różne pod względem programowym i społecznym, byleby tylko one wszystkie wierzyły w jednego wodza. Można wtedy w jego imieniu wystawiać weksle w najrozmaitszych walutach, bez względu na to, czy w przyszłości będą pieniądze w kasie. Szczególnie akcję konspiracyjną, zmierzającą do zamachu, ułatwia ogromnie wiara w kierującą jednostkę, bo wprowadza do tej akcji jednolitość i karność. Położenie zmienia się gruntownie z chwilą, gdy ta jednostka dojdzie do władzy i gdy za nią ponosi pełną odpowiedzialność.

Wówczas trzeba rządzić, trzeba rozstrzygać drażliwe zagadnienia. Przez jakiś czas można się trzymać kredytem z dawniejszych czasów. Powoli jednak władca musi ujawnić swoją fizjognomję. Jeżeli sam nie przedstawia programu, nie zdoła go stworzyć po objęciu władzy. W jego braku, rządy stają się bezpłodne, niezdecydowane, niewyraźne. Radykalna inteligencja, która oczekiwała rychłego urzeczywistnienia swoich mglistych zresztą nadziei, zaczyna się rozczarowywać. Robi się te lub inne ustępstwa dla mniejszości, kokietuje Żydów, ale to nie wystarcza. Na jakiś czas tylko może nadać treść obietnicom rządu polityka personalna. Usuwa się niemiłych sobie urzędników, a mianuje swoich, bez względu na kwalifikacje.

I jeżeli w działalności obecnego rządu trudno się dopatrzeć czegoś wyraźnego po za jedną polityką personalną, zwłaszcza o ile chodzi o zagadnienia społeczne i gospodarcze, to jest to rzeczą zupełnie zrozumiałą. Radykalna inteligencja, która doszła do władzy dzięki zamachowi, zawsze wyznawała idee, którym przeczyło życie. Żyła w świecie fikcyj, które nie dadzą się urzeczywistnić. Poprostu przyszła do władzy, nieprzygotowana politycznie i umysłowo. Polityka personalna może być bardzo pociągająca, ale na dłuższą metę musi znużyć i oburzyć społeczeństwo, a przedewszystkiem zdemoralizuje tych, którzy ją bezwzględnie stosują. O ile zaś żywioły gorętsze, naprawdę „radykalne", zechcą prowadzić politykę bardziej śmiałą pod względem rzeczowym, napotkają na opór żywiołów bardziej umiarkowanych i ostrożnych. Jedni zechcą pójść w kierunku socjalistycznym. Zechcą wzorować życie gospodarcze według przeżytych szablonów, co oczywiście może zachwiać zaufaniem świata przemysłowego, a nie rozwiąże gospodarczych trudności. Drudzy zaś będą się obawiali eksperymentów z troski o zaufanie kraju i zagranicy. Trzeba zdawać sobię sprawę z tego, że w obozie rządowym jest wiele żywiołów niespokojnych i porywczych, a pozbawionych wiedzy i doświadczenia administracyjnego. Żywioły te już się zaczynają niecierpliwić. Już obserwujemy rzecz bardzo interesującą: dzienniki rządowe, zwalczające poszczególnych ministrów. By utrzymać jedność i planowość w rządzeniu, nie wystarczy umieć śpiewać: „My pierwsza brygada". Nie może być tej jedności w rządzie, bo radykalna inteligencja nie jest duchową jednością, ożywioną jedną myślą. To też kryzys radykalnej inteligencji, która straciła wiarę w dawne swoje bożyszcza, w dawne idee, a dziś wierzy tylko w osobę, bynajmniej się nie skończył z chwilą objęcia przez nią władzy. Przeciwnie, dojdzie obecnie do swojego najwyższego napięcia.

ROMAN RYBARSKI

POLSKI KURYTARZ CZY NIEMIECKA ENKLAWA?

TRIUMF niemiecki w Lidze Narodów, uroczysty ingres Rzeszy na stałe krzesło w Radzie Ligi, jednoczesne wyprowadzenie w pole naszej wiernopoddańczej dyplomacji, względem władz Ligi zawsze *plus catholique que le pape*—wszystko to jest oczywistą przygrywką do „legalnego“ rozprawienia się Niemiec z Polską. Na pierwszą ofiarę upatrzony jest polski „kurytarz“, z rozmysłu tak przechrzczony, ażeby imputować światu, że Pomorze nie jest prowincją polską, jeno sztucznym dostępem do morza po niemieckiej ziemi.

Gdyby tak nawet było, nie byłoby nic zdrożnego w tem, że kraj o trzydziestu miljonach ludności uzyskuje ujście główne dorzecza swego przez powiększenie tej ludności o dalsze pół miljona, lub miljon głów. Że wszakże tak nie jest, że Pomorze jest polską istotnie dziedziną, wiedzą o tem nie tylko Polacy i nie tylko Niemcy, lecz przedewszystkiem twórcy traktatu Wersalskiego. W trzynastu punktach Wilsona Polski „dostęp do morza“ w zestawieniu z ograniczeniem państwa naszego do „ziem niewątpliwie polskich“ nie wyglądał na nic innego, jak na gwarantowanie Polsce wolnej żeglugi po Wiśle i wolnej strefy przy Gdańsku, uzupełnione być może prawem kolejowego przejazdu do niej „w zamkniętych wagonach“. Dopiero zetknięcie się mężów stanu zwycięskiej koalicji z rzeczywistością rozsiedlenia narodowości polskiej, zawdzięczane ogromowi pracy Dmowskiego, odmieniło jej zamiar pierwotny. Rozwiane zostały wszelkie wątpliwości co do narodowego charakteru Pomorza tak dalece, że w przeciwieństwie do Śląska w posiadanie jego wprowadzono Polskę bez plebiscytu. Wszakże stanowiskiem etnograficznem przejęto się do tego stopnia, że nie tylko wyodrębniono w półsuwerenną jednostkę Gdańsk, ale i przy kreśleniu granicy polskiej sprawdzano narodowość poszczególnych gmin, zarówno od zachodu, jak wschodu, i nadto od północy, czyli od terytorjum wolnego miasta, w wielu wypadkach nas krzywdząc dotkliwie, a jeszcze po targach niemieckich pozbawiając pasa ziemi od Piły pod Chojnice.

A to sprawdzanie narodowości gmin odbywało się nie według innego źródła, jeno zgodnie z ostatnim przedwojennym niemieckim spisem ludności z wyłączeniem wszelkich prób jego korekty. W związku z tem opowiadał prof. H. Arctowski, będący rzeczoznawcą polskim przy amerykańskim delegacie komisji międzysojuszniczej, że los Pomorza ledwo nie zawisł na włosku. Brano naogół pod uwagę powiaty o większości polskiej, a z nich następnie wykrawano do Niemiec gminy o polskiej mniejszości. Tymczasem przedostatni od południa powiat Pomorza, pierwszy dotykający wybrzeża, Wejherowski, zgodnie ze statystyką niemiecką nie miał całych 50% Polaków, ale zaledwie 48 i pół. Podobno więc z tego powodu chmura zawisła nad całym naszym dostępem do morza. Dało się atoli na czas wskazać Komisji, że Niemcy celem powiększenia tu swego odsetka ulokowali na terenie powiatu wielki zakład dla obłąkanych, około 2.000 chorych, wyłącznie Niemców, po których potrąceniu z rachunku Polacy przekraczali w powiecie sakramentalną połowę plus jeden mieszkańców. Ta wiadomość usposobiła Komisję aljancką życzliwiej dla sprawy. Wyłączono tedy z powiatu Sopoty i szereg innych gmin, włączając je do terytorjum Gdańska, ale wązką smugę do morza nam darowano. Niewiele wszakże brakowało, by rozmyślnie importowani z całej Rzeszy pomyleńcy przechylili na jej rzecz szalę, a „interes narodowy“ zakładu dla obłąkanych zaledwie nie wziął góry nad uprawnieniami i koniecznością życiową trzydziestomiljonowego narodu.

Dla stosunków obecnych jest miarodajny nasz spis ludności z r. 1921, ponieważ zarówno świadomość narodowa, jak ochrona prawna Niemców wyłącza podawanie się ich za Polaków. Stanowimy tedy na Pomorzu 81% ludności, a w powiatach poszczególnych odsetek następujący: w Puckim — 88, Wejherowskim — 90, Kartuskim — 92, Kościerskim — 81, Chojnickim — 81, Starogardzkim — 90 i Tczewskim — 82, ogółem na północnem Pomorzu, które zawierając kolej do Prus Wschodnich stanowi podobno minimalny program niemieckiej na dziś zachłanności — 87%; w Tucholskim — 82, Gniewskim — 94, Świeckim — 76 i Sępolińskim — 52, ogółem na całem Pomorzu lewobrzeżnem — 83%, w prawobrzeżnej zaś ziemi Chełmińskiej — 78% (w Brodnickim — 84, Chełmińskim—72, Działdowskim—65, Grudziądzkim—67, Lubawskim — 93, Toruńskim — 79 i Wąbrzeskim — 69 oraz w m. Toruniu — 87 i Grudziądzu — 79%). Skład ludności nie daje tedy żadnych podstaw roszczeniom niemieckim. A tem mniej jej wola, uwidoczniona dwukrotnie w wyborach sejmowych i komunalnych. Do ostatnich wyborów komunalnych Niemcy przywiązywali szczególną wagę, a mimo to przy naszej demokratycznej ordynacji uzyskali raczej mniej, niż to, coby im przypadało według spisu ludności. Nie przeszkadza to zresztą Niemcom rozpowszechniać nadal świadomego fałszu o „48%-owej mniejszości niemieckiej w Polsce“.

Równocześnie wysuwany jest przez nich argument ekonomiczny. Nie może się on odnosić do naszego Pomorza, zbyt oczywiście podnoszącego się pod względem gospodarczym od chwili, gdy stanowi—po przywróceniu naturalnych związków politycznych—nieskrępowane wyjście na morze olbrzymich terenów śródlądowych. To też wskazują Niemcy na krzywdę, jaka dzieje się przez oddzielenie od macierzy Prusom Wschodnim. W istocie niełatwo zrozumieć, na czem ta krzywda polegać może, skoro wszystkie ich połączenia wzajemne pozostały wolne. Prawdą jest, jak się zdaje, że Prusy Wschodnie ubożeją i wyludniają się. Lecz nie jest temu winna w mierze najmniejszej „potworność geograficzna“ naszego „kurytarza“.

Chodzi bowiem o to, że Prusy Wchodnie ubożały i wyludniały się już przed wojną, przez cały czas istnienia Rzeszy, pomimo jej ogólnego gospodarczego rozkwitu. Polakożercy profesor Sering w swojej „*Rede*“ (złożonej w 9/10 z tablic) p. t.: „*Die Verteilung des Grundbesitzes und die Abwanderung vom Lande*“ (Berlin 1910) dawał szczegółowy obraz tego wyludnienia. Mianowicie 8 powiatów północnych prowincji (przeważnie litewskich, co częściowo dziś weszły do obszaru Kłajpedy) miały w r. 1871—360 tys. ludności i odtąd do r. 1905 przyrost naturalny — 140 tys., mimo to w roku 1905 liczyły tylko 395 tys. mieszkańców, czyli emigrowało 105 tys. ludności, 20% całego zaludnienia, a 75% przyrostu.

14 powiatów południowych prowincji, warmińsko-mazurskich czyli polskich, w r. 1871 miało ludności 625 tys., przyrost naturalny jej do r. 1905 stanowił 330 tys. głów, mimo to w r. 1905 mieszkało tu zaledwie 700 tys., czyli emigracja pochłonęła w okresie tym 255 tys. ludności, 25% całego zaludnienia, a 80% całego przyrostu.

Wreszcie 15 powiatów pozostałych, czysto niemieckich, wyjąwszy Królewiec, w r. 1871 miało ludności 730 tys., przyrost naturalny — słaby — do r. 1905 wynosił 325 tys., a mimo to ludności całej w r. 1905

było 710 tys., — ubytek absolutny! Emigracja pochłonęła z górą przyrost naturalny, zabierając ⅛ część całej ludności obszaru.

A więc nie myśmy pozbawili swym „kurytarzem" Prusy Wschodnie podstaw gospodarczych istnienia. One nie mają ich z natury rzeczy. Albowiem odcinają od wielkich połaci śródlądowych ich smugę brzegową, niezdolną do samoistnego bytu, a te połaci pozbawiającą wyjścia naturalnego nad morze. Gdyby Prusy Wschodnie przynależały politycznie do swojego śródlądu (*Hinterlandu*), napewno nie narzekałyby na wyludnienie, nie byłyby zacofaną krainą ubogich rybaków i junkierskich łowów, lecz kwitłyby ich porty, rosłaby szybko ludność i uprzemysławiały się miasta, obecne siedziby urzędów samych. Potwornością geograficzną nie jest nasz dostęp do morza, lecz jego wązkość.

Wszelako Niemcy ratowały swoją enklawę od nieuniknionego upośledzenia gospodarczego. Wspomagała jej osiemset tysięczną ludność i przynależność naszych, niemczonych starannie, oraz litewskich, zniemczonych już dziedzin, i obecne powiększenie Prus Wschodnich o ziemię malborską. Tego jest mało. Zabierały tedy dwukrotnie w dziejach nasze Pomorze, lecz wynik był ten, że i ono ubożało, a Gdańsk trzeba było przed wojną sztucznie utrzymywać przy życiu, lokując tu warsztaty amunicyjne. Zaokrąglały się kosztem Poznańskiego. Widzimy z liczb przytoczonych, że i to Prus Wschodnich nie ratowało. To też celem wojny ostatniej było dla Niemiec podporządkowanie sobie całej Polski, jako członą ich *Mitteleuropy*. To jużby chyba wreszcie dało Prusom Wschodnim karm dostateczną. Ale czy same w tej roli nie przypominają owego zakładu dla obłąkanych, co stanął nam wpoprzek drogi do morza?

A więc i teraz żądanie niemieckie „zwrotu" Pomorza bynajmniej nie dąży do ratowania narodowego garstki rodaków, którym nic nie grozi, ani spełnienienie go nie zapewniłoby rozwoju gospodarczego Prusom Wschodnim. Są te *façons de parler* ponownie stawianym pierwszym krokiem Niemiec na tradycyjnej drodze do opanowania całej Polski. Niemcy zdają sobie sprawę, że Polska, pozbawiona własnego wyjścia na świat, skazana będzie na gospodarcze, a zatem i polityczne uzależnienie się od nich. Nie chodzi im o Prusy Wschodnie same dla siebie, ani o połączenie z niemi terytorjalne, chyba jako o narzędzia, pozorujące i przygotowujące zabór całej Polski. A posłuch dla swych planów zdobywają przedewszystkiem w międzynarodówkach, więcej liczących się z ludną, uprzemysłowioną Rzeszą, swoją ojczyzną i ostoją, niż z adeptami polskimi, których poprostu bałamucą czy gwałcą w imię międzynarodowej karności lub solidarności.

Trzeba nieszczęścia, może i nie całkiem przypadkowego, że w momencie rozwiązywania rąk Niemcom w Lidze, u nas po władzę sięgają partyzanci owych międzynarodówek i zgoła dwuznaczną politykę wszczynają właśnie na Pomorzu. Przypuśćmy, że klęska nasza w sprawie stałego miejsca w Radzie Ligi Narodów była nieunikniona. Być może, z drugiej strony, że Niemcy w kwestji „kurytarza" jeszcze czas jakiś będą jedynie „przygotowywali grunt". Wszakże nie powinniśmy nigdy zamykać oczu na to, że wprowadzenie samej Rzeszy na stałe miejsce do Rady Ligi (nb. i głosem naszej delegacji), czyli na stanowisko szczególnie uprzywilejowane i faktycznie częstokroć decydujące, nie jest dla nas tak, jak dla Hiszpanji, porażką jedynie w zakresie *prestige*'u na forum ściśle międzynarodowem, bo tracimy wskutek tego przedewszystkiem u siebie i to rzecz niepospolitej wagi. Zupełnie bowiem co innego stanowiło, boleśnie jednak przez nas odczuwane, zastrzeżenie pewnych uprawnień na naszem terytorjum, to znaczy w Gdańsku, na Śląsku oraz w sprawach mniejszości, naszym sprzymierzeńcom, bezpośrednio w kwestjach tych nie zainteresowanym, a natomiast nikt nie zdoła zaprzeczyć, że zmianą zupełnie radykalną porzedniego stanu rzeczy, pogorszeniem bezwzględnem sytuacji naszej i poważnem upośledzeniem Polski staje się fakt, że sprawy nasze, postawione w zależności od instytucyj międzynarodowych, odtąd zależeć mają i od Niemiec, a kto wie, czy nie przedewszystkiem od Niemiec, jako członka Rady Ligi od żadnych wyborów niezależnego a zainteresowanego. Z tą chwilą tracimy jakby cząstkę swej suwerenności państwowej na rzecz byłego zaborcy, a ten niewątpliwie skorzysta z tego do ustawicznych interwencyj, zyskując klucz przedewszystkiem do naszego Pomorza.

Hiszpanja w sytuacji o wiele pomyślniejszej potrafiła upomnieć się o rekompensatę w Tangerze, o powiększenie stanu posiadania. Polska, tracąc stałe miejsce w Radzie Ligi, chybaż mogła wzamian ratować swoje obecne posiadanie i każdy rząd polski powinien był znaleźć drogę do tego, by Niemców do kompetencji w Gdańsku ani w sprawach mniejszości naszych nie dopuścić. Wydaje się, że wolno było nawet zgóry pewnym pretensjom się przeciwstawić. Sama zmiana zbyt zasadnicza władz Ligi do tego upoważnia. Niemcy na naszem miejscu momeńt ten napewnoby wygrały.

WŁODZIMIERZ WAKAR

MOWY MUSSOLINIEGO

Przedmowa do wyboru mów Mussoliniego, które w przekładzie polskim wkrótce zostaną wydane, jako I-szy tom „Bibljoteki Myśli Narodowej".

CZŁOWIEKOWI, który gardzi obfitem i czczem gadulstwem, uważając je za jedną z typowych cech umysłowości „demokratycznej"; co więcej, człowiekowi, który radby wogóle mało mówić, ideałem jego bowiem jest czyn nieustający i praca w milczeniu — tak wypadło z przeznaczeń losu, iż przeciwnie, zmuszony jest często i nieraz długo przemawiać publicznie.

Człowiekiem tym jest — Benito Mussolini.

Posiada on wszystkie warunki, żeby być niezrównanym mówcą, mianowicie płynną wymowę, namiętny temperament, bystrą i światłą myśl, ogromną pamięć i rozległą wiedzę, wreszcie potężną wolę kierującą tem wszystkiem oraz dźwięczny organ i stalowy organizm.

Życie prócz tego, od najwcześniejszych lat, popychało go w kierunku tego rodzaju starć i walk z ludźmi, z otoczeniem, w których żywe, porywające słowo odgrywa wielką rolę, decyduje o powodzeniu, zapewnia rozgłos i przewagę nad innymi.

Komu to wszystko było dane, ten był wystawiony jako mówca na liczne pokusy i niebezpieczeństwa, czyhające na działaczy publicznych zwłaszcza w czasach demokratycznych, kiedy to upajanie się własnem „mocarnem" słowem, nadużywanie go doszło do szału, przekroczyło granice zdrowia duchowego i elementarnej rzetelności myślenia.

Pokusom jednak czasu i zwyczajom demokratycz-

nym Mussolini nie uległ, nie stał się jednym z tych „*maitres-de la parole*", których wymowa jest „jako cymbał brzmiący i miedź brzęcząca".

Nie stał się tego rodzaju „mistrzem słowa", ponieważ nie chodziło mu nigdy o popis krasomówczy, o piękne mówienie dla przyjemności podziwiania siebie samego,—dlatego, że jego charakter umysłowy i moralny odpychał wszystko to, co było pozorem i fałszem, absurdem logicznym i oszustwem retorycznem, co tchnęło nieszczerością uczuć i pustką myśli.

W jednem ze swoich przemówień do robotników powiada Mussolini, że będąc dzieckiem pomagał ojcu swemu, kowalowi, „zginać na kowadle rozpalone żelazo". „Dzisiaj — mówił — o wiele trudniejsze i cięższe mam zadanie zginania dusz ludzkich"...

Otóż słuchając przemówień Mussoliniego, jakby się widziało takiego mistrza od zginania dusz. Używa on bowiem słowa jako narzędzia, którem wciąż uderza w oporny materjał dusz ludzkich, uderza mocno, namiętnie, nieubłaganie, żeby je usposobić do zgięcia się, przekonać o konieczności zmiany, o tem, że trzeba się nagiąć do pewnych idej, których on jest wyznawcą, uledz pewnym obowiązkom, których on jest głosicielem.

Ma się tu wciąż przed sobą człowieka czynu, który stwierdza swój pogląd i wyraża swoją wolę, dbając przedewszystkiem o to, by pogląd był jasno wyłożony, wola zaś dobitnie zaznaczona. Dlatego słowo jego jest jasne, zrozumiałe i dostępne dla wszystkich, — dlatego rozumowanie jego jest ścisłe, posuwające się żywo naprzód, konkludujące stanowczo, bez zbytecznych zastrzeżeń.

Mowy Mussoliniego zmierzają zawsze prosto do celu, są pozbawione sofistycznych wykrętów i niedomówień. Do wszystkich — do przyjaciół czy do przeciwników — zwraca się on zawsze z jednakową szczerością, przekonywa, jeśli tego zachodzi potrzeba, i z jednakową dobrą wolą.

Wszystkim mówi tylko prawdę, wykazuje, iż robią źle, lub są w błędzie, jeśli w istocie tak czynią; ostrzega przed karą, jaka na nich spaść może, jeśli błądzić nie przestaną. Przed nikim nie ukrywa swoich sympatyj i antypatyj, chociaż, jak to nieraz zaznaczał, nigdy nie kieruje się niemi w swojej polityce. Nikogo fałszywie nie chwali, nikomu bez potrzeby nie grozi.

W przemówieniach polemicznych, przeciwników swoich, co prawda, nie oszczędza, owszem smaga ich nierzadko ironją, ośmiesza dowcipnem słowem, nigdy jednak gwoli zabawie i rozkoszy znęcania się nad wrogami, — gdyż nadewszysko lubi ich zwalczać siłą logiki, wymową takich faktów, które biją w oczy i każdego, niezaślepionego mgłą doktryn fałszywych, winny zobowiązywać.

Sam jest miłośnikiem faktu, rzeczy konkretnej, rzeczywistości, której najskromniejszej cząstki nie poświęci dla tej lub innej zwodniczej błyskotki, unoszącej się ponad nią.

Przedewszystkiem obchodzi go rzeczywistość najbliższa, żywa rzeczywistość własnego narodu, w której tkwi on głęboko korzeniami swego ducha, czerpiąc z niej swoje idee państwowe, swoje programy polityczne i społeczne, swój zapał i wytrwałość w walce o lepszą przyszłość Italji.

W przemówieniu z dnia 24 marca 1924 r., wobec pięciu tysięcy syndyków przybyłych ze wszystkich zakątków półwyspu, Mussolini tak mówił między innemi: „Obecnie chcemy zachować Rząd i rządzić. Zdaje się, iż jest to rzecz banalna, rządzenie jednak jest straszliwym trudem: rządzić — to znaczy stać codziennie pod obuchem od najwcześniejszego ranka do ostatnich godzin wieczoru; rządzić znaczy—mieć przed sobą obraz wszystkich potrzeb ludności, rządzić — to czuć w sercu własnem bicie serca całego narodu".

O tem, jak serce jego odczuwa bicie serca całego narodu, o tem, jak obraz wszystkich potrzeb ludności kraju stoi wciąż przed jego wzrokiem,—dają nam należyte pojęcie wszystkie niemal mowy Mussoliniego, które po objęciu władzy w państwie, w ciągu czterech lat zmuszony był wygłaszać z najrozmaitszych powodów i wśród rozmaitych okoliczności.

Wszystkie prawie mówią Włochom nieumęczenie o tem, co powinno być głównym celem ich życia, przedmiotem ich troski codziennej. Mówią im one: kraj nasz znajduje się w świecie w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji; jest ubogi i z trudem wytrzymuje współzawodnictwo międzynarodowe. Po wielkiej wojnie, osłabiony fizycznie i rozstrojony politycznie, — fałszywemi doktrynami społecznemi oraz małodusznością szeregu rządów— został wtrącony w otchłań bezładu i niemocy, z której został wydobyty dzięki poświęceniu i krwi ofiarnej tych najlepszych sił narodu, które zdawały sobie sprawę z jego upadku i odczuwały jego hańbę. Dzisiaj one razem zemną dzierżą całą władzę w państwie i nie dopuszczą do powtórzenia się podobnej ohydy, jaką kraj przeżywał. Trzeba go uczynić godnym tej wielkiej przeszłości cywilizacyjnej, jakiej jest dziedzicem, trzeba go uczynić silnym i wielkim, tego bowiem domaga się życie i na to ma on wszelkie dane i wszelkie prawa.

Po to trzeba wzmódz wszystkie jego energje fizyczne i duchowe; osiąga się to przez dyscyplinę pracy, przez solidarną współpracę zasadniczych czynników wytwórczości, świadomie, w poczuciu obowiązku obywatelskiego i odpowiedzialności za losy narodu, podporządkowujących jego interesom interes własny.

Państwo stoi na straży interesów narodu, musi więc mieć możność sprostania im: powinno przeto być silne, żeby ich bronić na wewnątrz i na zewnątrz, a także by siebie bronić przed czynnikami anarchji.

Oto mój program, jest on wyraźny, odpowiadający tej rzeczywistości, z jaką liczyć się musimy co chwila, jeśli chcemy skutecznie pracować dla narodu, zapewnić mu możność rozwoju, uczynić go szczęśliwym. Kto program ów podziela, niech staje z nami do wspólnej pracy: nikogo nie odtrącamy, skądkolwiekby pochodził. Kto mu się przeciwstawia — będzie zwalczany; kto jest jego wrogiem, kto świadomie działa na szkodę państwa i narodu — zostanie ukarany. Taka jest rządu i moja wola — i tak się stanie. Rząd jest nieugięty, rząd jest surowy, ponieważ życie narodu odbywa się w warunkach nader ciężkich, wymagających wytężenia wszystkich sił i zgodnego ich współdziałania. Mówimy o tem głośno, nic nie ukrywamy z naszych zamiarów, żeby się nie łudzono, iż może być inaczej.

. . . .

Tak oto aksjomatycznie, mocno, szczerze, lojalnie, bez próżnej retoryki i zdawkowej frazeologji, przemawia zawsze Mussolini do Włochów, takiemi są główne, przewijające się stale, motywy jego przemówień.

Waga ich leży w znaczącej wiele treści, w powadze słowa, nie ciskanego „na wiatr", słowa mówiącego o czynie dokonanym, bądź zapowiadającego czyn przyszły. Urok ich spoczywa w sile przekonania, w ścisłem rozumowaniu, w niekłamliwym wyrazie uczuć i wzruszeń samego mówcy.

Brzmią one mocnym dźwiękiem nie fałszywego w tonie dzwonu, który uderza nieraz na trwogę, budzi i wstrząsa rzesze ludzkie, ale też roznosi dokoła dobroczynne poczucie życia, radosną zapowiedź jutrzni jego odrodzenia.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

DWIE POSTACI KONKRETYWIZMU

(PATRJOTYZM LIBERALNY I NACJONALISTYCZNY)

II

NACJONALIZM, pojęty nie wyłącznie jako kierunek polityczny, ale jako światopogląd, nie jest właśnie niczem innem, jak owem mocnem naświetleniem wartością, intensywnem wciąganiem w centrum świadomości jaknajwiększej ilości rzeczywistości ludzkiej, i to rzeczywistości najbliższej, będącej terenem, jak się rzekło powyżej, potencjalnej realizacji woli; idzie mu oto, ażeby jaknajwiększą liczbę ludzi wtajemniczyć w tę prawdę, że — jak powiada Wasilewski —

„rozwój własny jednostki dokonywa się tylko przez udział czynny w wytwarzaniu wielkiej cywilizacji, która dała jej życie duchowe — że człowiek dochodzi do siebie przez cywilizację“.

Z tego punktu widzenia stwierdza się i po tej stronie, że

„nie samo państwo tworzy cywilizację, że naród nie jest owym kuchennym „primusem“, w który państwo nalać może byle nafty i dawać mu natchnienie pompką. Naród musi sam żyć i płonąć... Państwo jest też wytworem twórczej woli — i ono ma swoje podstawy tam, gdzie się w świecie ducha wszystko zaczyna i wszystko kończy: w woli jednostki“ (50).

Widzimy tu między autorami porównywanymi styczność w myśleniu uderzającą. Więc ostatecznie, jakim sposobem z tego samego zasadniczego punktu wyjścia w myśleniu o społeczeństwie — indywidualistyczno-psychologicznego konkretywizmu — dojść można do tak biegunowych ocen zjawisk i idei narodu?

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że gra tu rolę przedewszystkiem dziejowość narodowca, bedziejowość tamtego. Lecz oto i Abramowski okazuje się—(co zresztą przy jego ściśle przylegającem do konkretów ludzkich wartościowaniu jest wcale niespodziewanem) — bynajmniej nie obcym dziejowości. A rozumiemy przez nią zasadę, usprawiedliwiającą poświęcenie aktualnych interesów jednostek,—oraz interesów jednostek aktualnych—na rzecz idei, mającej się zrealizować dopiero w przyszłości przez jednostki owe, a może nie dożytej. Gdy mianowicie Abramowski swój bojkot państwa aż do tego posuwa, że zaleca niekorzystanie z wszelkich instytucyj opieki państwowej np. inspektoratów pracy (II, 377), to oczywiście godzić się musi na to, że dla idei życia bezpaństwowego pewna, może bardzo znaczna, ilość osób aktualnych będzie zmuszona cierpieć krzywdę. Wprawdzie nie brak zastrzeżenia, że współcześnie z bojkotem instytucyj państwowych, musiałyby się rozwijać instytucje swobodne, np. zamiast inspektoratu rządowego inspektorat związków zawodowych — to jednak zastrzeżenie traci wszelki sens tam wszędzie, gdzie pracujący są zbyt bezsilni ekonomicznie i intelektualnie, aby się na związek obrony swych interesów zdobyć; w jakiż np. sposób dzieci-sieroty wprzągnięte w gospodarstwa czy warsztaty, nieraz nieludzko się z niemi obchodzące, miałyby bronić kooperatywnie swych interesów?... i czy jedyną obroną takiego dziecka nie są conajwyżej jakieś autorytety obyczajowe czy władze?

Abramowski, zwalczając nacjonalizm jako „dogmatyzm“, właśnie za jego dziejowy punkt widzenia, sam jednak dziejowości innego rodzaju, klasowej, nie wyrzeka się, owszem wyznaje to otwarcie:

„Socjalista wszystkie sprawy polityczne ocenia tylko ze stanowiska interesów życiowych i interesu historycznego klas pracujących; przymierza je do nędzy ludzkiej, zatem do tego, co istnieje jako konkretne i indywidualne; żadne zaś inne kryterja, jak np. „racja stanu“ lub „ideał narodowy“ istnieć dlań nie mogą“ (II, 134).

Czyżby więc Abramowski nie poświęcił dla „interesu historycznego“ klas pracujących życia ani jednego proletarjusza? Ale w takim razie szkoda słów o „interesie historycznym“; jeśli zaś poświęciłby to życie dla owego interesu—(a wszelka agitacja rewolucyjna jest już potencjalnem wysyłaniem na walkę i śmierć) — to oczywiście niema już mowy u niego o indywidualistycznym konkretywiźmie absolutnym, nastąpiło już ograniczenie jego uzasadnień, nastąpiło zatem to samo właśnie, co stanowiło kamień obrazy ze strony „ideału narodowego“! O konstrukcji społecznej bez historyzmu, zatem bez ograniczenia konkretywizmu ideałami ponadaktualnemi nie warto marzyć. Tak więc i ten poszukiwany przez nas człon, odróżniający ideologję narodowca i ideologję antynarodowego—*quand même*—patrjoty,—człon, jakim byłby pozytywny lub negatywny stosunek do dziejowości, odpada. Ale niejasność na tym punkcie u Abramowskiego naprowadza nas właśnie na poszukiwaną różnicę istotną. Idzie tu mianowicie o stosunek do idei przymusu.

*

Wasilewski trafnie opisuje istotnie przeciwnarodowy stan ducha, jako stan pewnego lęku:

„Kto nie przywykł do wglądania we wnętrze duszy społecznej, doznaje jakby uczucia strachu, wstępując do jej głębin. Gdzież wolność osobista, prawo indywidualności? Prowadzicie mnie do gmachu bez wyjścia, gdzie jednostka jest własnością sił przemożnych duszy narodowej. Ten moment psychiczny obawy zagubienia swojej indywidualności w nadorganicznym rozwoju cywilizacji jest najniebezpieczniejszym punktem rozwoju nowożytnej myśli społecznej“. (92).

Abramowski zaś, jako ideolog socjalny, zmuszony, jak widzieliśmy, chcąc nie chcąc, zgodzić się na pewną dziejowość, na pewną „nadorganiczność“ (jak się wyraża Wasilewski), norm moralnych, wybiera, że się tak wyrazimy, „złe najmniejsze“: dziejowość rewolucyjnego proletarjatu—a to dlatego, że ta właśnie, jako rewolucyjna, nie rozporządzając—narazie, to znaczy w czasie, kiedy Abramowski o tem myślał — środkami przymusu, obawy przymusu w nim nie budziła. Marzyło się o zwycięstwie proletarjatu, ale to był mit dla liberała niegroźny... Ci sami ludzie pod dyktaturą proletarjatu muszą napewno wzdychać *zur schönen Zeit der jungen Liebe...*

W pojęciu „nacjonalizmu“ nie idzie wyłącznie o stosunek względem sprawy niepodległości narodowej. Tu wystarcza poprostu „patrjotyzm“ — jako pewien „naturalny“ (nb. u ludzi stojących na jakim takim poziomie moralnym i umysłowym), odruch uczuciowy w chwilach osobliwych. Również w dyskusji, jaką toczy nacjonalizm, nie tyle idzie o to, żeby wykazać, że wogóle narody „powinny istnieć“, że zatem i nasz naród ma prawo, czy też powinien być podtrzymywany; nacjonalizm jest pewnym stosunkiem do rzeczywistości, pewną postawą psychiczną, pewnemi nastrojami i pewnemi metodami, których wynikiem jest ideał niepodległości narodu. Jeśli kosmopolita, czy tam uniwersalista wyzywa do polemiki nacjonalistę, to ten nie sprzecza się o to, że świat powinien być podzielony na narody, że społeczeństwo nie powinno być dyssolwowane w związki nieterytorjalne itp.; on może mieć takie lub inne osobiste poglądy cywilizacyjno-eschatologiczne, jednakże w te dalekie i absolutne sprawy on poprostu nie wdaje się na serjo; stanowisko,

którego on broni, jest to zasadnicza postawa względem rzeczywistości, którą nazwalibyśmy postawą „historycznej praktyczności“ — organiczną nazywa ją Wasilewski. Tu świat, tak się wyrazimy, jest pełny, pełen oporów, wypełniony zaś nie jakąś bezpostaciową, jednolicie oporną magmą—abstrakcjami, które są wszystkie równie lekkiej dla woli ludzkiej wagi — ale utworami konkretnemi najrozmaitszego stopnia „gęstości“ i wagi — utworami powiązanemi w strukturę niezmiernie zwikłaną; tu świat jest trudny, żyje się tu pod najistotniejszym przymusem, przymusem historji — i cała szczególność postawy tej na tem polega, że się ten przymus akceptuje ze stoicyzmem, lub nawet z tą satysfakcją, jaką daje trudna robota dzielnemu człowiekowi, a robota ta polega na takiem ewolwowaniu, „wywijaniu“ — jeśli wolno użyć tego wyrażenia—poszczególnych składników z pośród całości, aby całość ta nie rozpadła się przypadkiem w strukturę jeszcze mniej racjonalną, jeszcze chaotyczniejszą niż ta, co przekazana danemu pokoleniu przez historję; wszystko to, co nie może stać się zadaniem praktycznem, wychodzi dla narodowca z zakresu ideologji i moralnej bezwarunkowości. To jedno; a powtóre: Całość twórczości cywilizacyjnej obdarza się tu wartością; serce radujące się dzielnością, rozwojem, zdrowiem, pracą, rozlewa się tą radością swoją na wszystkie dziedziny twórczości cywilizacyjnej — co oczywiście nie znaczy, aby w tych dziedzinach wszystkie objawy traktowało się równowartościowo bez żadnego wyboru (jak to jest w intencji tego „liberalizmu skrajnie egalitarnego“, którego przedstawicielem tak wybitnym jest właśnie Abramowski). I ta linja, wzdłuż której przecinają się zasięgi międzytwórczej sympatji i historycznej praktyczności — to jest właśnie delimitacyjna linja ideologji narodowej, linja zasięgów jej postulatów. Walka o zasadę narodowości—nacjonalizm— to walka o przeparcie w psychice społecznej tej postawy wobec rzeczywistości. Wartość idei narodu subjektywnie pada, skoro w danej psychice braknie jednego z powyższych czynników. W psychice typu, który w osobie Abramowskiego staramy się tutaj zanalizować, brak, jak nadmieniliśmy, akceptacji wogóle idei przymusu, więc i przymusu historji, brak zatem norm „historycznej praktyczności“.

Co do poglądów na samą istotę życia społecznego, to obaj autorowie omawiani, jak już zresztą poprzednio widzieliśmy, zgadzają się. Wasilewski walczy ze „złudzeniem słabych umysłów“ (94), jakoby życie cywilizacji dało się ująć na modłę nie procesu organicznego, ale mechanizmu. Lecz i Abramowski daje stanowczą odprawę mechanistycznej socjologji:

> „Gdyby, jak chce tego liberalna teorja „walki o byt“, człowiek stanowił w sobie całość, był indywidualnym aż do samego jądra swej istoty, jednostką izolowaną, w której tylko osobiste instykty grają role bodźców życiowych, to oczywiście nie mogłoby być mowy o zrealizowaniu się kiedykolwiek syntezy interesów indywidulnych zbiorowych, bo wszak społeczeństwo uważane za mechaniczny zbiór osobników, za kombinację swobodnego współdziałania egoizmów, każe z konieczności przypuszczać, że między społecznem a jednostkowem dobrem jest przepaść, że zbiorowość może mieć interes w łamaniu jednostki, a sprawiedliwość społeczna może być jej krzywdą“ (II, 125).

Abramowski konstruuje społeczeństwo na podstawie dowodzonej przez się—tu wkraczamy wraz z nim w metafizykę, w monizm mianowicie—„tożsamości subjektu myślącego“ w osobnikach ludzkich, zatajonej jednak w „indywidualizacji zjawiskowej“ (II, 127). Uznanie tożsamości tej jest wynikiem dwóch sprzecznych postulatów: Raz, że w rozważaniu o społeczeństwie niema mowy o innej świadomości poza świadomości jednostek, raz znów, że zjawisko społeczne jest „syntezą świadomości indywidualnych“ (II, 49). Zjawiskiem społecznem jest zaś każdy stan intuicyjny, który uległszy działaniu apercepcji, czy „uwagi dowolnej, woli świadomej“ (II, 52), został zobjektywizowany „stał się pojęciem, zdobył pewną nazwę symboliczną“ (II, 53). To wszystko, co w nas jest myślą i mową, to wszystko, będąc całkowicie naszem, jest zarazem wspólną własnością tych wszystkich, którzy tych samych mian, tych samych szablonów pojęciowych używają.

> „Od pierwszych dni życia otoczeni jesteśmy gęstą atmosferą myśli ludzkiej, nagromadzonej symbolicznie w mowie i przedmiotem pracy, która to atmosfera ukształca i rozwija całą rozumującą stronę duszy naszej“...

Środowisko ludzkie, działając na jednostkę zapomocą tej mowy, tych przedmiotów, udziela jej pewnych sposobów apercepcji, apercepcyjnie powstające u jednostki myśli i pojęcia, to są punkty węzłowe światów indywidualnych, społeczna dusza w świadomości jednostek:

> „Cała strona dziewiczej, nietkniętej jeszcze myślą intuicji, jest indywidualną częścią duszy, osobnikiem właściwym. Wszystkie zaś strony myśli, pojęcia i sądy, strona duszy apercepcyjna, w mowie wyrażona, rozumująca, jest społeczną. Sposób odczuwania jest dla każdego odmiennym i nie znosi prawideł; jest to intymna i nietykalna własność osobnika. Logika zaś, przynależność subjektu myślącego jest dla wszystkich wspólna, jednakowa i dlatego obwiązująca“. (II, 56, 57).

Tu się nasuwa nam wątpliwość. Czyżby zatem logiczne rozumowanie wytwarzały społeczeństwo? I jakiż byłby związek takiego skrajnego racjonalizmu socjologicznego, z nacjonalizmem, któremu Abramowski tak stanowczy daje wyraz, zwalczając wszelki abstrakcjonizm w społecznem życiu, wartościując właśnie bezmierną, żywiołową, nieskrępowaną żadnemi ideami, przedewszystkiem zaś nie ideą państwa — którego istotą jest tępienie indywidualności, urzeczywistnienie człowieka abstrakcyjnego, według norm wysnutych z największej liczby, (II, 261)—rozmaitość dusz ludzkich?

Ale do myśli Abramowskiego wracając dodajmy, że ta tożsamość subjektu myślącego, objektywnie przejawiając się w apercepcji, intuicyjnie wyraża się w dobroci, w naturalnej etyce braterstwa, nie potrzebującej żadnych dogmatów rozumowanych, jako podstawy swego oparcia.

> „Wszelki akt dobroci jest tylko intuicyjnem, nierozpoznawanem poznaniem siebie samego w innych istotach, przemówieniem w żywym języku uczucia zatajonej w zjawiskach tożsamości ludzkiej. Tak samo, jak każdy akt samolubstwa jest zaparciem się swej istoty myślącej, niepoznawaniem jej w innych, jest głosem tej intuicji, która pojawia się, gdy człowiek redukuje siebie do punktu czucia organicznego, patrząc na wszystko, co poza nim, jako na nieprzyjazne sobie i zasadniczo obce.“ (II, 129).

I znowu spytajmy: Czy nie zachodzi tu jakiś przeskok logiczny, czy mianowicie uprawnione jest pojęcie intuicji, będącej, jak widzieliśmy powyżej, właśnie owem *principium individuationis* (II, 57), rozciągać na uczucie wyrażające się w formie — to ty jesteś (II, 130)? A następnie, czy walczący z wszelkiemi przejawami mitologizmu Abramowski, mówiąc o tożsamości objektu ludzkiego, jakby o czemś już danem, gotowem, co tylko potrzebuje być odsłoniętem intuicyjnie, o „jedności istoty, myślącej pozornie tylko o zjawiskach, zróżniczkowanej i rozbitej na osobniki“ (II, 59) — czy sam jednak nie daje jakiegoś substratu, jakiejś namiastki owej mitycznej „duszy społecznej“ — nadindywidualnej celowości świadomej — z którą gdzieindziej stanowczo się rozprawia?

Kiedy Wasilewski, konstruując swoje społeczeństwo, mówiąc o „jedni narodowej“, t. j. o społeczności, która

> „widziana jako naród, jako układ historyczny, mający za sobą dzieje, a więc obdarzony pamięcią organiczną... ma wszystkie kwalifikacje jednostki psychicznej“ (98),

to, choć to brzmi nieco mitologicznie i trąci niemotywowanym realizmem ontologicznym, jest jednak mniej o to podejrzanem, niż owa u Abramowskiego jakaś „tożsamość

myślącego subjektu", w ludzkości „substancja społeczna" (II, 61) dana *a priori*, którą należy tylko jakąś od innych wszystkich intuicyj odrębną intuicją (dobroć) odsłonić".. W świetle zastrzeżenia fenomenalistycznego, niejednokrotnie powtórzonego i przez Wasilewskiego, owa jaźń narodowa nie jest niczem innem, tylko — iż się tak wyrazimy — takim stanem psychiki społecznej, w którym np. co Polak — to Polska, co jednostka — to naród. Myśl naczelną Wasilewskiego ujmujemy w ten sposób, iż idzie mu o to, by człowiek rozwijał swoją osobowość na cywilizacji najbliższej (rodzimej):

„Niema chyba miary rozrost człowieka przy tych możliwościach, jakie otwiera przed nim twórczość w wielkim aparacie cywilizacji narodowej." (144).

Podstawą etyki nacjonalizmu, jako światopoglądu, jest jak widzimy, norma współdziałania cywilizacyjnego — (w rzeczywistości najbliższej t. zn. na terenie potencjalnej realizacji i woli). To jest punkt widzenia całkiem szczególny, z którym ludzie są naogół zupełnie nieoswojeni.

Jeśli spytamy, w jaki sposób racjonalizuje się nacjonalizm Wasilewskiego, — a przez racjonalizację idei rozumiemy sprowadzenie jej do jakiejś przesłanki większej, do jakiejś zasady pierwotniejszej, bardziej bezpośrednio danej intuicji, jako wartościowa — to odpowiedź brzmi, iż jego zasadą pierwotną jest wartość osobowości [1]). Osobowości zaś nie można pojąć bez kategorji organicznego wzrostu — jeśli ma być ideałem — „jaźnią — iż tak powiemy — czynną", w przeciwieństwie do „jaźni biernej" z „punktu organicznego czucia w osobniku" (używamy tu wyrażenia Abramowskiego) [2]). A skoro tak, to wykluczone jest pojęcie osobowości nieodpowiedzialnej za swe osobiste „dzieje". Niema mowy o osobowości tam, gdzie życie odbywa się bez żadnych dziejów, jako proste następstwo przeżyć, wrażeń i reakcyj, całkowicie pomieszczonych w zakresie chwil; o osobowości mówić można tam tylko, gdzie każde postąpienie projektowane bada się z punktu widzenia odpowiedności jego w stosunku do całości zamierzonych celów i norm wyznaczonych przeżyciami, które się uznało za decydujące, najwartościowsze. Otóż właśnie najbardziej objektywną — jako największej objętości bo wszystkie normalne psychicznie w danem społeczeństwie osoby objąć mogącą — normą dla osobowości indywidualnych jest pozytywny stosunek do cywilizacji — i to do pewnej cywilizacji, pojętej jako odrębną całość, jako układ historyczny. Dlaczego właśnie — „jako układ historyczny"? Dlatego mianowicie, że: jak cywilizacja ma być materjałem dla rozwoju osobistości indywidualnej — to nie może ona (nb. cywilizacja) nie mieć swoich konkretnych dziejów, skoro właśnie odpowiedzialność wobec „dziejów" wyróżnia człowieka o ideale „jaźni czynnej", człowieka trwałego, z charakterem, od dyletanckiego życiowo osobnika, z jaźnią, w znacznym stopniu, bierną. Słowem: Osobowość indywidualna, jeśli ma się rozwijać na współudziale z cywilizacją, to jasnem jest, iż ta norma ulegnie wyższemu sprecyzowaniu, napięciu — jeśli się wskaże zarazem pewną konkretną, własne dzieje posiadającą cywilizację. Osobiste „dzieje" człowieka cywilizacyjnie współtwórczego, nabierają tęższej i wyraźniejszej struktury, jeśli się w nie włączy, nie cywilizację wogóle, w najszerszem znaczeniu, ale właśnie cywilizację konkretną, również swoje wyszczególnione dzieje posiadającą.

KAROL L. KONIŃSKI

[1]) Ścisłej definicji osobowości Wasilewski nie podaje. Mogę jednak jego pojęcie jej przybliżyć czytelnikowi tem przytoczeniem: „Umysł nie nawleczony na wątek dziejowy jest bez busoli. Działanie celowe, które ma moc w wierze i umacnia w człowieku zdolność wierzenia w cokolwiek, nie da się zastąpić w kulturze refleksją logiczną" (36). Słowem: pełnia psychiczna kondensująca się w działaniu celowem.

[2]) William Stern, znany obecnie twórca filozofji „personalizmu krytycznego" rozróżnia osobę *(Person)* i „osobliwość" wzgl. „osobistość" *(Persönlichkeit)* — ewentualnie „osobę rzeczywistą" i „osobę idealną" *(reelle ideelle Person)*. Pojęcie „osoby idealnej" jest negatywne, jako pojęcie pewnej celowości niezrealizowanej, jednakże i nawskroś pozytywne jako pojęcie wciąż czynnej działalności celowej... Przez „osobistość" rozumiemy więc osobę, o tyle, o ile poprzez jej realne ukształtowanie się prześwieca panujące jej wewnętrzne jej przeznaczenie. Osoba jako „kompromis jest zawsze rzeczywistą; osobistość jako ideał, nigdy dokonaną". (Por: „*Die menschliche Persönlichkeit*". Wyd. III, Lipsk, 1923, str. 20, 21). Mybyśmy byli skłonni w naszem znaczeniu „jaźni czynnej" używać wyrazu „osobistość" (*Persönlichkeit*), w znaczeniu zaś „jaźni biernej" (określonej jako punkt organicznego czucia) wyrazu „osobowość" (*Person*). Wasilewski używa słowa „osobowość" w znaczeniu „*Personlichkeit*" i stosujemy się do tego w nin. art. (Nadmieniamy, że książkę Sterna czytaliśmy już po napisaniu tekstu niniejszego studjum).

Z POUFNYCH WYZNAŃ KASPROWICZA

(URYWKI Z PAMIĘTNIKA ŻONY)

Harenda, 23 kwietnia 1925 r.

POWIEDZIAŁ mi wczoraj:

— Osobliwa to rzecz — rzeczywistość i niej marzenie. Wydaje mi się teraz, że to wszystko, co napisałem w ostatnich czasach [1]), mogło powstać tylko zdala od tego świata, który stał się treścią moich poezyj, w atmosferze intensywnej za nim tęsknoty. Tu w Harendzie jestem za blizko do niego.

Patrząc na postaci miejskich robotników, wlokące się powoli drogą, a co roku na wiosnę ściągające w te strony w poszukiwaniu roboty, dodał:

— Gdybym patrzał na te znużone figury, idące tak wolno, nie napisałbym „Barabów" [2]). Nie potrafiłbym nadać im tego pędu, ich duszy, który można wyczuć tylko przez wizję ich stanu, przez wyobraźnię.

Kazał mi przeczytać od początku wszystkie należące do tego cyklu utwory. Jest ich 39. Robię to chętnie, bo nigdy mnie nie nużą, pomimo że czytałam je wielokrotnie. Jest w nich świeżość, prawda i prostota, które za każdym razem „działają", jako coś niezmiernie dobrego, czystego i kojącego. Widzę, że czuje potrzebę mówienia o tych wierszach, to też mówimy. Szczerze wypowiadam zdanie, robię uwagi, a on po jakimś czasie znowu się pyta:

— Marusiu, mów mi coś o mojej książce, pociesz moją duszę. Czy naprawdę jest coś warta?

Odpowiadam z przekonaniem:

— Janku, wiesz dobrze, że więcej jest warta, niż tobie i mnie w tej chwili zdawaćby się mogło.

Kiwa głową:

— Tak mówisz, bo cóż innego powiedzieć możesz. Ot, — takie sobie dziadowskie wiersze, bajeczki dla głupich...

[1]) Siedem miesięcy mieszkaliśmy we Lwowie, odkąd Janek zachorował. Tam powstała większa część „Mojego świata".

[2]) „Mój świat", str. 211 (Pędzą baraby, pędzą baraby).

Po chwili dodaje:

— Zdaje mi się, że trochę poezji w nich jednak jest — i dużo współczucia dla człowieka...

Podchwytuję z zapałem:

— Nie tylko to! Będzie to książka jedyna w swoim rodzaju pod względem swojskości, kolorytu czysto polskiego, na którym, jak i na muzyce Szopena, pomylić się nie można. A równocześnie niema w niej nic z etnografji; bo każdy obraz, pozornie realistyczny, ma obrzeża, które go łączą z głęboką treścią człowieka i życia. Musisz napisać jeszcze parę rzeczy o charakterze metafizycznym.

— Tam wszędzie dużo jest metafizyki.

— Wiem o tem. Niema prawdziwej poezji bez metafizyki; twoja wyrasta z życia, nigdy od niego się nie odrywa. Lecz przypominają mi się nasze rozmowy z przed 13 lat. Kiedyś, wracając z Zakopanego do Poronina w noc gwiaździstą, słuchałam, jak cudownie mówiłeś. Pamiętam, prześladowała cię wizja pokracznego idjoty z pod kościoła, szczerzącego zęby w potwornym i jakby na wieki zastygłym uśmiechu. Słowa twoje skojarzyły się w mojej pamięci z obrazem nieba i gwiazd, z przyświecającą nam przez migotliwość ich promieni tajemnicą. Mam to zapisane gdzieś w jednym z pierwszych moich zeszytów. Czy nie mógłbyś wyzyskać tego motywu?

Janek każe mi przynieść pamiętnik i odszukać wzmiankowany ustęp. Niestety nastrój tej rozmowy za słabo był tam oddany, za mało plastyczny.

Przy sposobności czytam Jankowi parę innych, mogących go zainteresować urywków, w których zapisałam jego własne słowa: kilka dumnych, mocnych wykrzykników i zdań człowieka świadomego wartości swojej i siły, wyznań Marchołta — z trzeciego aktu, bojownika, porywającego się na wszystko.

Janek słucha i nagle przerywa:

— Nie, to niemożliwe, nie mogłem tak powiedzieć! Albo byłem poprostu paskudnym zarozumialcem! Obecnie tak nie mówiłbym.

A wtedy pomyślałam:

— Tak Janku. Wiem, że wkroczyliśmy w ostatni akt. Teraz nie wybuchasz, jak dawniej, tłumionem w sobie uczuciem, które potrzebowało żywego słowa. Przeważnie milczysz, albo wyrażasz swój związek z życiem prostą piosenką Marchołta: „Słońce, słońce!“ w której kryje się cały stosunek do świata. Tak, jesteśmy w skupionej samotności i ciszy ostatniego aktu „Marchołta“, w blasku zorzy gasnącej. Jak i tam, towarzyszy nam nieodłącznie, może daleki, ale wyraźny, prawie dotykalny powiew śmierci.

To wszystko tylko w myślach swoich powiedziałam Jankowi.

4 czerwca 1925.

Inaczej się Janek teraz uśmiecha, inny ma wyraz w oczach: łagodny, pobłażliwy, naprawdę życzliwy nie tylko dla blizkich ludzi, lecz dla całego otaczającego go świata: dla kota, który się do niego przymila, dla jaskółek, które ulepiły na naszym ganku mnóstwo gniazdek. Niepokoi się o los i spokój jaskółek: kiedy widzi skradającego się do nich kota, zaczyna go nienawidzieć, grozi, że go „zastrzeli“. Dzieciakom wiejskim, które się bawią niedaleko domu, każe rozdawać cukierki. Codzień każe się prowadzić do małego jawora, który przed miesiącem przesadziliśmy. Jest on przedmiotem szczególnej jego pieczołowitości i umiłowania. Obiecał Antosi „ładny prezent“, jeżeli pilnie go będzie podlewała i o niego dbała.

Czy się przyjął? Antosia w swoim barwnym góralskim djalekcie żywo dowodzi, że jawor to drzewo, które się zawsze przyjmie, że ona głowę da sobie uciąć, jeżeli za parę dni nie pokażą się na naszym jaworku listki.

Codzienny spacer Janka naokoło domu kończy się zawsze na ławeczce, którą pod tym jaworem dla niego postawiliśmy. Patrzy na jego nagie jeszcze gałęzie, których koniuszczki znaczą się wiosennemi pączkami i zaczynają przybierać kształt najeżonych listków. W oczach Janka zjawia się uśmiech:

— Jaworek się przyjął! [3]).

Może wiązał sprawę własnego życia z życiem tego drzewa, któremu śmierć groziła? Wszystko go obchodzi, wszystko go na nowo zajmuje; ma dla wszystkiego wielką tkliwość, odbijają ją kąciki jego ust; uśmiech ich jest czasami tak zachwycająco dobry, tak promienny, że chwyta za serce.

Harenda, 8 maja 1926.

Czytałam Jankowi rano w łóżku książkę Kołaczkowskiego „Twórczość Jana Kasprowicza“. Wyszła rok temu, lecz był wtedy zanadto chory, aby módz należycie ją ocenić. Robi często w czasie lektury zajmujące uwagi. Tam, gdzie Kołaczkowski mówi z powodu „Hymnów“ o jego stosunku do Boga, o przeciwstawianiu się Bogu, o braku z Nim łączności i mistycznego zespolenia, które występuje w późniejszych utworach, Janek przerwał mi słowami:

— Za to w „Moim świecie“ Pan Bóg wygląda prawie na Palidra.

Palider to gospodarz z sąsiedniej wsi; murował u nas schody. Zestawienie to miało oznaczać, że obecnie doprowadził stosunek swój do Boga do ostatecznej zgodności i prostoty. Stosunek ten znalazł najpiękniejszy wyraz w tej książce w wierszu „Szum Wody“.

Innym znowu razem tam, gdzie Kołaczkowski określa zasadniczy nastrój książki „O bohaterskim koniu i walącym się domu“, jako humor n i e p r z e j e d n a n y, — Janek uzupełnia:

— W „Moim świecie“ jest wiele humoru, — tylko, że tu jest on chyba szczytem pojednania.

A potem dodaje:

— Ja właściwie teraz zgłupiałem. Nie potrafiłbym pisać tak, jak dawniej. Słucham tego, jak obcych rzeczy, do mnie nie należących.

— Czy to dobrze? — zapytuję.

— Dobrze, nawet bardzo dobrze — odpowiada po namyśle — Dobrze, że powoli wszystko się zaciera w pamięci, — nawet młode lata (jest to okres najżywiej przez Janka pamiętany). Po co wlec za sobą wspomnienia ciężkich walk, zmartwień, upokorzeń?...

Zauważyłam, że Janek, mówiąc o bolesnym okresie życia, ma na myśli zawsze jego zaranie. Powiedział kiedyś:

— Miałem bardzo ciężką młodość.

13 maja 1926.

Janek od wczoraj znowu gorzej się czuje. Lekarz kazał mu trzy dni pozostawać w łóżku. Buntuje się przeciw temu; chce koniecznie zobaczyć w ogrodzie jarzębinę, która zakwitła:

— Doprowadzicie do tego—mówi ze skargą w głosie— że nie zobaczę kwitnącej skorusy [4]). Nie pamiętam, jaki ma kwiat. Wstanę, popatrzę się i znowu się położę.

Prosi, jak dziecko. Jest coś dziwnie wzruszającego w sprawach, które teraz zajmują nieraz godzi-

---

[3]) Jawor ten ostatecznie nie przyjął się, usechł.

[4]) Góralska nazwa jarzębiny.

nami jego umysł. Dzisiaj rano w związku z jubileuszem, który mu w lecie przygotowują — powiedział:

— Jubileusz to grzebanie człowieka za życia. Prawie wszyscy pisarze, których znałem, bardzo prędko po swoich jubileuszach umarli, albo przestali pisać: Kraszewski, Konopnicka, Orzeszkowa, Sienkiewicz.

Leży zamyślony, nagle pyta:

— Powiedz mi, dlaczego właściwie, od czasu jak siebie pamiętam, zawsze tak było, że najchętniejbym się schował do mysiej dziury?

— To też schowałeś się — mówię. — Czy Harenda nie jest taką mysią dziurą? Zaświatem?...

30 maja 1926.

W tej chwili wyprowadziłam Janka na łąkę pod jasion. Karmiliśmy chlebem naszego „Zbója" (dobermana). Klęczę koło leżaka i spokojnie rozmawiamy. Zachwycone nasze oczy miłośnie ogarniają bujny majową zielenią świat:

— Jeszcze nigdy na łące trawa nie była tak wspaniała, jak tego roku.

— Ogromnie to lubię — mówi Janek — przypomina mi to falowanie zbóż.

Za chwilę dodaje:

— Jestem wdzięczny Panu Bogu, że pozwolił mi jeszcze doczekać wiosny — leżeć pod jesionem.

— A widzisz...

— Czy ty wierzysz — zapytuje po chwili — że nieznane siły oddziaływują na nasz los?...

MARJA KASPROWICZOWA

Z CYKLU: BUNT LAWIN

BUNT LAWIN

Zbudził mnie nocą trzask lodowej kry,
Huk, łomot, cudowna muzyka,
Bunt lawin, pędzących z granitowych bram.

Jak chorągwie — zaszumiały zwięzłe serca tętna,
Radość dzika,
Rozumem nie objęta.
Krzyczą: „to ty!
Oddawna ciebie znam"!

Ruń twarzą na skalny załom, próg,
Wyciągnij ręce tak jak ja
Do słońca i cygańskich dróg,
Do pryskających chłodną nocą watr.

Przedwiośnie bluzgiem lodów gra,
Wieje surowy, skośny wiatr.

Gardłami rzek zwycięsko gna —
Z lodem zmieszane zimna, brylantowa woda.
Soczysta kra —
Spragnionym wargom trunek poda.

W halną, wilgotną ziemię — usta spieczone wgrąż,
Aż się roztętni serce jak rwąca lawina
I bluźnie buntem pękających brył.

Przedwiośnia czas
Jest zimny — jak owoców miąższ.
Wczoraj — szeroki, ostry wiatr zacinał,
Marszczył na wodzie siatki zbłękitnionych żył —
Dzisiaj — brodzi się w słońcu aż po pas.

PRZY OGNIU

Wisiory stalaktytu stroją okap długi,
Mróz wyszlifował cięcia na okiennych rogach,
Po podłodze pełgają hjacentowe smugi,
Jedna nam w świat—przez zamieć, przez zadymkę — droga.

Słychać dźwiękania dzwonków. Sanie jedne, drugie
Pędzą — gwiaździstym wichrem — przez skrzący gościniec.
Waty zasp przeorują ostrym, żrącym pługiem.
Nacicha świat za węgłem. Pod okapem ginie.

Przez uchylone drzwiczki lecą szpilki iskier.
Padają na podłogę — gasną w szparach wązkich.
Znam wszystkie twoje myśli: dalekie i blizkie,—
Soczyste są i prężne jak w kwietniu gałązki.

SANKI

Nocy szaleńcza! Rozhulanie!
Pędzi nas z domu słodki mus,
Biało złociste przykazanie —
Na wiatr, na roziskrzony mróz.

Cudowna jazda! Więc z wiatrami —
Na zatracenie, w dół przez lód!
Pęd! Biały obłok tuż za nami,
Burza, gonitwa, niebezpieczny skrót.

Mroźne powietrze, wir, kurzawa,
Pryskanie iskier, prostopadły spad,
Znów oddech, — lasu wysrebrzona nawa.
Śnieg bije w oczy: brylantowy grad.

Pijany rozmach, wiatr, — pracują płuca, —
Niespodziewany zakręt, potem most,
Pył pióropusze w powietrze wyrzuca,
Nagle łagodna roztocz — i pędzimy wprost.

STYCZNIOWE RANO

Gdy tak w styczniowe wybiegamy rano,
Z domu na cudny, wybujały śnieg—

Gdy tak do życia wyciągamy ręce
w jakiejś olbrzymiej tęsknocie — podzięce —

Gdy tak biegniemy drogą roześmiani,
mokrym, wilgotnym śniegiem całowani,
z sercem wezbranem radością po brzeg —

Gdy się tak śniegiem bijemy jak dzieci,
no powiedz! — czy źle ci?

KAZIMIERA ALBERTI

LIBERUM VETO

Uroczyste wprowadzenie bandytów politycznych i wyproszenie za drzwi ich ofiar. — Ze świątyni giełda. — Garnitur starych garnków z nową przyprawą. — Chłop i dyplomata z ogonem. — Żebranie łaski. — Zasłużyliśmy i „zwyciężyliśmy".—Radość najmitów i niewolników.

CHCĄC zrozumieć polityczną treść obecnych dziejów świata, trzeba zapomnieć o prawidłach logiki i regułach moralności, trzeba zdarzenia bieżące oceniać ze stanowiska zasady Heglowskiej: „wszystko, co jest, jest rozumne", z dodatkiem: „wszystko, co jest, jest uczciwe". Inaczej nie pojmiemy istoty wypadków i ich kolei, nie wyplączemy się z ich sprzeczności, każdy z nich będzie dla nas niespodzianką i przedmiotem zdumienia. Jako świadkowie i ofiary niezliczonych zbrodni niemieckich, dokonanych na ludziach i rzeczach podczas wojny; mając w pamięci jeszcze żywe wspomnienia ich mordów, grabieży, uciemiężeń, okradania i pustoszenia kraju; patrząc ciągle na skutki ich bandyckiego najazdu, mamy to przekonanie, że oni są krzywdzicielami a my pokrzywdzonymi, oni przestępcami, a my ich ofiarami, że gdy dziś staniemy z nimi przed jakimkolwiek sądem, on swym wyrokiem ich potępi, a nas obroni i wynagrodzi. I oto stało się coś zupełnie przeciwnego w trybunale najwyższej sprawiedliwości—w Lidze Narodów. Ci rozbójnicy, ci mordercy kilku miljonów ludzi, ci łupieżcy i niszczyciele całych krajów, ci sprawcy niedoli wielu narodów a przedewszystkiem polskiego, wprowadzeni są uroczyście jako stali członkowie tego trybunału, podczas gdy nam po długim oporze i targu pozwolono w nim zająć zaledwie miejsce niestałe. Czy to może zrozumieć umysł sądzący według powszechnie uznanej (poza polityką) logiki i etyki? Nie. Tu trzeba o nich zupełnie zapomnieć i prześwietlić dziwne zjawisko z innej strony. Prezydent Wilson był marzycielem, utopistą, przekonanym, że złe tkwi nie w ludziach, ale w formach ich życia i działania, że przez zmianę tych form można odrazu zmienić ludzi. Tworząc Ligę Narodów, przypuszczał—jak przypuszczali wszyscy utopiści urzeczywistniający swoje pomysły — że ona zastąpi odwieczne szacherki dyplomatyczne i starcia orężne, że państwa zamiast się wzajemnie oszukiwać i prowadzić wojny, wniosą każdy swój spór przed bezstronny sąd międzynarodowy i poddadzą się jego orzeczeniu. Było to takie samo złudzenie, jakiemu ulegli organizatorowie gmin komunistycznych w Ameryce i bolszewicy w Rosji, jakiemu ulegliby gospodarze, którzy użyliby oswojonych wilków do strzeżenia owiec. Mniemanie, że chciwi Anglicy wyrzekną się swoich podstępnych zdobyczy kolonjalnych; że drapieżni Niemcy zaprzestaną swoich ekonomicznych i wojennych podbojów; że gabinety dyplomatyczne zaprzestaną swoich intryg, sideł, kłamstw, tajemnych podkopów i staną się wysyłającemi i odbierającemi stacjami jawnej wymiany przyjacielskich porozumień, było ze strony Wilsona szczytem naiwności, nad którym parsknęli śmiechem i śmieją się dotąd wszyscy politycy „realni", to znaczy: praktycy, cynicy, oszuści i gracze. Już dziś widzimy wyraźnie skutki tego złudzenia. Liga Narodów jest garniturem starych brudnych garnków, w które kucharze dyplomacji wlewają świeże ideje i gotują w nich swoje dawne słodkie, cuchnące i trujące przysmaki. W tem nowem ciele niema nowej duszy, lecz stara, przyzwyczajona do obłudy, niegardząca najgorszemi środkami, jeśli one zapewniają jej osiągnięcie celu. Daremnie świat oczekuje od tej zgrzybiałej, zepsutej duszy wzruszeń, przekonań i dążeń, obiecujących mu zupełne odrodzenie — braterstwo, życzliwość, sprawiedliwość i spokój między narodami. Dawna zaborczość pozostanie nadal, zmieni się tylko taktyka, jak nowoczesna wojna pozostała wojną, zmieniła się tylko z bitewnej na pozycyjną. P. p. Chamberlain, Briand, Stresemann nie będą innymi ludźmi w Genewie i w towarzystwie, niż w Londynie, Paryżu i Berlinie sami z sobą. Tu i tam będą się wzajemnie okłamywać, otaczać sidłami, snuć intrygi i zawierać tajemne umowy—słowem dążyć do tego, ażeby ich państwa jak najwięcej wydarły innym, jaknajwięcej dokonały zaborów, jaknajwięcej zyskały i wyzyskały słabych lub łatwowiernych. Kto zna żargon polityczno-złodziejski, kto wie, że jak u zwykłych rzezimieszków zegarek nazywa się „sikorą", kieszeń — „doliną", a nóż — „majchrem", tak u dyplomatów zabór nazywa się „sprostowaniem granic", ujarzmienie narodu—„przywróceniem równowagi", a ubezwładnienie ekonomiczne — „potrzebą rozszerzenia rynku" i t. p., ten w obecnym języku Ligi Narodów odrazu dostrzeże nowe wyrazy ze starem znaczeniem. Tę świątynię pokoju zbudował idealista, apostoł nowej ewangelji, ale w niej niema wcale kapłanów-idealistów, ona wcale nie jest żadną świątynią, tylko międzynarodową giełdą polityczną, w której kłócą się, licytują, zawierają tranzakcje i ustanawiają kursy akcyj dyplomatycznych, usiłując utrzymać na najwyższym poziomie walory państw silnych, a na najniższym—słabych. To właśnie zrobiono z potężnemi Niemcami i z rozstrojoną, zawichrzoną, pozostającą ciągle w „stanie płynnym" Polską, której przyznano miejsce na dostawionem krześle w Radzie Ligi. Ułatwili znakomicie tę operację nasi przedstawiciele. Po ministrze kauczukowym objął kierownictwo spraw zagranicznych minister drewniany, niewrażliwy na obronę godności narodu i państwa. Zarówno on, jak jego towarzysz umieszczony przy Lidze, wyraźnie oświadczyli, że „nie będą stawiali trudności" w poniżeniu Polski, zepchniętej na miejsce „pół-stałe". Czegóż więcej było potrzeba Chamberlainom, Briandom i Stresemannom? Heine pisał, że gdy widzi pokorę chłopa polskiego, dziwi się, że on nie ma psiego ogona. Ciekawa rzecz, czy nie zrobiłby tej złośliwej uwagi, widząc nie polskiego chłopa, ale polskiego dyplomatę?

Wszystko, co wyżej napisałem, nie jest w stylu poważnej publicystyki europejskiej, a nawet naszej. Tak dalece bowiem przyswoiła ona sobie żargon dyplomatyczny z całą jego obłudną, krętacką, dwuznaczną frazeologją, że już nie umie lub boi się nazywać rzeczy właściwem imieniem. Gdy czytamy doniesienia z obrad Ligi Narodów w tym szablonowym języku, wyjałowionym ze słów szczerych, ostruganym z kantów ostrych, gładkim, wypolerowanym, stanowiącym lśniący fornir chropowatego podkładu, zdaje nam się, że tam odbywa się sąd, złożony z ludzi mądrych i sprawiedliwych, może tylko błądzących: A tymczasem... tam powinien Polak przemówić tak, jak niegdyś nihilista rosyjski Myszkin, przyprowadzony z więzienia, przemówił do sądu: „Wy gorsi od"... Podobno nie wypada niepolitycznie wyrażać się w ciele politycznem. Bądźmy grzeczni i pokorni, w nagrodę za to może przyszły satyryk niemiecki będzie dopatrywał się w nas... ogona. Bo czy można zejść niżej w pokorze, niż wysyłając z Genewy lub czytając bez oburzenia w Warszawie taki telegram ogłoszony przez dzienniki: „Briand będzie interwenjował u Stresemanna, aby coś uczynił dla Polski, skoro w Genewie tyle uczyniono dla Niemiec". Litości nad własną godnością! Polska za pośrednictwem protektora żebrze łaski u Niemiec! Doprawdy naszemu przedstawicielstwu w Lidze wyrasta ogon!

Ale nie bądźmy dla niego za surowi. Parafrazując znaną maksymę, trzeba wyznać szczerze, że mamy takich ministrów, na jakich zasługujemy. Czyż pełnomo-

cnicy narodu w sejmie nie uprawnili rokoszu? Czyż społeczeństwo nie przypatruje się obojętnie orgji „uzdrowienia moralnego“, w której obrońcy praworządności są karani jak zbrodniarze, w której miernoty wskakują na najwyższe stanowiska, a niecnoty faworytów zaliczane są jako tytuły do najszczytniejszych godności? Głos p. Piłsudskiego nie wpadł w puszczę, odbrzmiało mu w społeczeństwie echo — jeśli nie uznania, to uległości. A gdyby ktoś inny dokonał zamachu w przeciwnym kierunku, doznałby takiego samego przyjęcia. Bo idziemy ku przyszłości ze zgiętemi karkami i opuszczonemi głowami, które pozwalają nam widzieć tylko to, czego dotykają nasze stopy. Nasz grzbiet jest przyzwyczajony do bata, który tak świstał podczas przewrotu majowego i świszcze dotąd; nasze uszy przywykły do rozkazów, nasze szyje do obroży, a ręce do kajdan, my ciągle jesteśmy niewolnikami. Od pierwszej chwili zmartwychwstania politycznego obcy i swoi wyprawiają z nami, co tylko podoba się zuchwałej zarozumiałości i głupocie; orkiestry ciągle zmieniających się rządów grają nam najdziksze melodje, a my albo słuchamy obojętnie tej muzyki, albo tańczymy według jej taktu. Śród niezliczonych rozczarowań, okropnych zawodów, niszczących katastrof, śród długiego szeregu czynów niedołężnych i występnych w instytucjach prawodawczych i administracyjnych, ani razu społeczeństwo nie zatrzęsło się zbiorowym gniewem i nie objawiło swej woli jako nakazu i zakazu swoim rządcom. Wszyscy oni odeszli lub pozostali przy sterze z przekonaniem, że gdyby tego zażądali, zaczęlibyśmy chodzić na czworakach. Naród, który jest poddańczy, bierny, cierpliwy, nie ma prawa się skarżyć ani na samowolę swoich, ani na lekceważenie obcych. Zasługujemy na to, ażeby nami rządzono co miesiąc inaczej i zawsze arbitralnie i ażeby w radzie narodów wyznaczano nam „pół-stałe“ miejsce — jako łaskę. Dumna Hiszpanja odpowiedziała za pośrednictwem gen. Primo de Rivery na zaproszenie Brianda i Chamberlaina, że na jej udziale w Lidze „ucierpiałaby godność państwa“. Nasi przedstawiciele poprzestali na „nie robieniu trudności“ w wyznaczeniu Polsce składanego krzesła na boku. Część prasy buduje im za to łuk triumfalny i wrzeszczy: „Zwyciężyliśmy!“, a społeczeństwo przypatruje się bez głośnego protestu tej radości najmitów i niewolników.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

POGWAŁCONE POCZUCIE SPRAWIEDLIWOŚCI

MOŻNA, dzięki umiejętnej i hałaśliwej reklamie, wmówić w szerokie sfery, że się kolejno wypędziło z Polski Moskali i Niemców i z bronią w ręku wywalczyło niepodległość. W takich wypadkach spekulacja na brak krytycyzmu w masach może przez czas pewien mieć powodzenie. Ale nie można zagłuszyć w społeczeństwie, wychowanem w zachodnich tradycjach chrześcijańskich, poczucia sprawiedliwości, nie sposób nadużycia przemocy nad jednostkami przyodziać w szaty bezstronności. Przeciwko wszelkim uzasadnieniom popełnianej niesprawiedliwości, pozorowaniom jej rzekomemi motywami prawnemi buntuje się sumienie społeczne. Nie potrzebuje ono nawet prawniczych wywodów, wykazujących bezpodstawność wyszukiwanych argumentów, jego wyrok jest niechybny. Moralna bezsilność triumfującej materjalnej siły odsłania się przed ogółem.

Wśród doniosłych w skutki wydarzeń politycznych, więzienie czterech generałów w Wilnie było politycznie biorąc faktem niewielkiej wagi. Ale opinja publiczna nie mogła zapomnieć tego pogwałcenia pojęć o sprawiedliwości i na haśle „odrodzenia moralnego“ przebieg tej sprawy zaciążył fatalnie, wykazując jego obłudę. Począwszy od podstępnego schwytania generała Malczewskiego i ukrywania go w tajemniczych zabudowaniach, całe postępowanie z osobą b. ministra spraw wojskowych wywoływało wciąż zdumienie. Bo gdy przeciwko winnym najsurowiej karanych przestępstw wojskowych nie wszczęto żadnych dochodzeń, przeciwko generałowi Malczewskiemu wytoczono oskarżenie o przestępstwa, których popełnić nie mógł, w rodzaju obrazy zwierzchnika, którego generał, jako minister spraw wojskowych, poza Prezydentem Rzeczypospolitej, nie miał. To wzburzenie przeciwko niemu opinji, to znowu „względy wojskowe“ usprawiedliwiać miały jego przebywanie w więzieniu, to wreszcie sąd nie mógł się ukonstytuować. Innym uwięzionym generałom zarzucono nadużycia pieniężnej natury. Jeżeli takie nadużycia miały istotnie miejsce, to więzienie w czasie śledztwa nie było umotywowane względami rzeczowemi.

W opinji ugruntowało się przekonanie, że kierowano się chęcią zemsty, uczuciem, które jest złym doradcą.

BOHATERZY ZACZYNAJĄ MYŚLEĆ

BYLIŚMY zawsze tego zdania, że największym wrogiem naszego życia narodowego jest bezmyślność. Zgryzotą naszą była „lewica“, która brak myśli narodowej podniosła do wyżyn zasady, nawet imperatywu. Dla niej ideałem polityka był taki, który wprzód działa, niż pomyśli. Ale nie widzieliśmy, żeby pomyślał nawet potem...

Obrażano się na propozycję „pomyślenia“ i w r. 1905 i w 1912—14. To jest rys zasadniczy typu wschodniego. „Ty nie myśl — mówił nam nauczyciel ze wschodu. — Kogut indyjski myślał i zdechł“. Ale o cóż chodzi? Przecież nawet kura o czemś myśli. W myśleniu o rzeczy publicznej chodzi przedewszystkiem o zdanie sobie sprawy ze swojego stosunku do tej rzeczy. A więc, gdy tą rzeczą jest życie narodu, trzeba ustalić swój do narodu stosunek. Tego nie było.

Pan Ogiński, piszący w „Głosie Prawdy“ artykuł „Dno sprawy“, nie da pewno temu wiary. On utrzymuje, że „istnieją w Polsce dwa obozy — mafja endecka i piłsudczycy“. A my powiadamy, że są dwa obozy: ludzi umiejących o narodzie myśleć i ludzi, którzy myśleć o narodzie wstydzą się lub nie umieją. To jest podział rzetelniejszy psychologicznie.

Pan Ogiński dzieli ludzi według typu uczuciowego: endecy to „mafja“ tchórzów, piłsudczycy — to reszta narodu, złożona z ludzi odważnych. Z tego podziału widać, że jest człowiekiem wschodu, mającym w pogardzie zasadę myślenia, nawet się nie domyślającym, że można i należy ludzi rozważać pod tym kątem, czy są zdolni do myślenia o tem, co robią i przez to odpowiedzialni.

My utrzymujemy, że obóz piłsudczyków nie myślał dotąd na serjo, jaki jest jego stosunek do narodu. Wiedział, jaki ma być jego stosunek do Austrji, do Niemiec i do Rosji, ale nie wiedział, co miałby zrobić z Polską. Pan Ogiński pewno będzie uważał za paradoks powiedzenie, że ludzie, w tym obozie decydujący, w zaraniu swej karjery umieli bardzo bystro „ustosunkować się“ do pociągu, przebiegającego przez Rogów, ale nie zdawali sobie sprawy z kierunku, jaki powinien przybrać pociąg dziejów Polski. Do Polski dostali się „na gapę“.

Bądź co bądź nie oni, lecz właśnie ci ludzie z przeciwka, owi „tchórze“, nie wierzący we własne siły, „filozofowie (jak mówi z przekąsem) tchórzostwa, passywności, trójlojalności i czekania“, — przyprowadzili pociąg dziejów na stację Warszawa Główna, Cieszyn, Poznań, Toruń, Gdańsk, Wilno, Lwów. Pomimo, że mieli w kraju przeciwników, którzy im z wielką odwagą rozkręcali szyny, zwłaszcza na linjach do stacyj na zachodzie.

Mogli zaś to zrobić tylko dlatego, że umieli myśleć, że znaleźli właściwy stosunek do narodu myślowy i moralny. A ten moralny wyraża się w poczuciu wielkiej, tragicznej wprost za losy narodu odpowiedzialności, poczuciu obcem dla człowieka Wschodu. Dlatego także ludziom odważnym, ale odkładającym myślenie do terminu nieograniczonego, nie udało się zawładnąć pociągiem dziejów i nigdy się nie uda. Bo ten pociąg, nawet gdy się wyrzuci maszynistę i konduktorów, w dowolnym kierunku nie pójdzie. Zgadywano już różne stacje, ale on wracał (choćby z Kijowa), a pociąg ledwo, ledwo uszedł z życiem.

Z tą odwagą i z tym lękiem, panie Ogiński, jest taka sprawa: 1) kto nie rozumie niebezpieczeństwa, ten go się nie boi — to jeśli chodzi o inteligencję, a 2) jeśli chodzi o moralność — komu na czemś nie zależy, temu „wszystko jedno“. Trzeba te dwie rzeczy związać i tak się do losów narodu ustosunkować, aby na nich z a l e ż a ł o i zrozumieć odpowiedzialność swoją za te losy.

Chłopięca klasyfikacja na tchórzów i bohaterów z tego stanowiska innego nabiera oświetlenia. Pierwszą cnotą obywatelską przed „odwagą“ bywa myśl stanu, oparta na poczuciu odpowiedzialności. Większą nieraz trzeba mieć odwagę, żeby pomyśleć prawdę, niż żeby skoczyć na pociąg w biegu. Lęk, nakazujący poniechanie wojny domowej, więcej bywa wart dla narodu, niż odwaga, tę wojnę niecąca. Wyrzucacie nam tchórzostwo, żeśmy nie podjęli walki domowej, a w tym wyrzucie czuć żal, żeśmy was nie związali, bo teraz sami nie wiecie, co ze swoją „niepodległością“ robić. Trzeba was ratować przeciwko wam samym.

Doszliście nareszcie do „dna sprawy“, do absurdu. I to jest pocieszające, że zaczynacie się wreszcie zastanawiać nad stosunkiem swoim do środowiska. Narazie myśl idzie jeszcze naopak, ale ona z czasem się wyklaruje. Najtrudniej zacząć myśleć — na to potrzeba odwagi. A gdy już wreszcie zaczniecie rozróżniać przedmioty i stosunki (czy wasz pociąg w ruchu, czy też uboczny), wtedy może spostrzeżecie, panie Ogiński, że klasyfikacja jest inna. Walka w Polsce toczy się między obozem narodowym i masonerją. Ona to zużytkowała do swych posług tych, którzy lubią ruch dla ruchu i mają odwagę działać bez pomyślenia. Ona dobrze pomyślała i bez trudu znalazła w Polsce dla siebie kozaków.

Gdzieindziej, panie Ogiński, szukać trzeba mafji, nie tak daleko od siebie. Ani wasze są plany, ani wasze cele. Jesteście tylko narzędziem. To też tylko niepoczytalnością wyjaśnić można, że widzicie w swoim herbie znamię „niepodległości“.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

SPRAWY WEWNĘTRZNE

KIEROWNICY przewrotu majowego postanowili zachować Sejm. Sądzili, że zmaltretowany, poniżony przez nich parlament, nie mający oparcia w opinji, stanie się bardzo dogodną instytucją, pozwalającą przerzucać odpowiedzialność na nią z bark rządowych. Istotnie zachowanie się większości Sejmu po przewrocie rachuby te usprawiedliwiało. Zdawało się, że Sejm dbać będzie przedewszystkiem o przedłużenie swego istnienia, że wzgląd na djety poselskie — nienarażanie się na rozwiązanie w wypadku opozycji będzie decydujący. Takie rozumowanie zapewne dałoby oczekiwany wynik, gdyby nie logika wewnętrzna ustroju politycznego, która nie pozwala na przekształcenie władzy kontrolującej w pokorne narzędzie władzy wykonawczej. Gdyby nawet większość Sejmu chciała unikać wszelkiego przeciwstawienia się rządowi, opozycja zmusić ją może do zdeklarowania stanowiska, a wtedy trzeba już liczyć się z opinją i z przyszłością.

Kierownicy przewrotu rządzić bez Sejmu, choćby jako parawanu czy dekoracji, nie mogą. Z uwagi na zagranicę, nie tylko tę, która może udzielić pożyczki, ale i tę, która rządów parlamentarnych broni gorliwie, jako urzeczywistnienia programu demokratycznego. Nasze sfery obecnie rządzące są zbyt związane z organizacjami międzynarodowemi, za bardzo muszą liczyć się z panującemi w nich poglądami, aby mogły jawnie usunąć Sejm od udziału we władzy. Same one zresztą są tak przesiąknięte doktrynami i frazeologją demokratyczną, iż otwarcie przeciwko ustrojowi obecnemu wystąpić nie mogą. Pozostała przeto tylko droga terroryzowania Sejmu. Ale grożenie „batem“ im dłużej trwa i częściej się powtarza, tem mniej staje się skuteczne.

Byłoby rzeczą niesłuszną twierdzić, że uległość Sejmu wywołana jest jedynie tchórzostwem i egoizmem poszczególnych posłów i grup. Rodzi ją również obawa przed nowemi wstrząśnieniami, które spowodowałoby ponowne złamanie Konstytucji, gdyby doszło do ostrego konfliktu Sejmu z rządem.

Pierwszym powodem konfliktu mogło być przekroczenie uchwalonego przez Sejm prowizorjum budżetowego i wniesienie przez rząd projektu nowego prowizorjum, przewyższającego znacznie granice, jakie ustalono dla zrównoważonego budżetu. Rzecz znamienna, że wszystkie stronnictwa w Sejmie z wyjątkiem P. P. S. są zwolennikami oszczędności, aczkolwiek dawniej na Sejm zwalano odpowiedzialność za pęcznienie budżetu, zresztą niezupełnie słusznie, gdyż słabe rządy przeważnie dążeniu do wzrostu wydatków energicznie się nie przeciwstawiały. Dzisiaj, gdy pod wpływem ugruntowanej opinji zasada oszczędności, niedopuszczenie do inflacji stało się w Sejmie niemal dogmatem, rząd „naprawy Rzeczypospolitej“ tę zasady lekceważy.

Z całem prawdopodobieństwem utrzymywać można, że nie czyni tego z przeświadczenia, że rozważniejsi przynajmniej jego członkowie nie ulegają zgubnemu optymizmowi pod wpływem pomyślnej konjuktury gospodarczej. Aktywność bilansu handlowego może rychło się skończyć, gdy ustanie wyjątkowy popyt zagranicą na węgiel, gdy zmniejszy się wywóz płodów rolniczych, gdy z wrastającą drożyzną zmniejszać się będzie zdolność konkurencyjna naszego przemysłu. Wzrost cen w kraju może obalić realność budżetu. Jednakże rząd, który chce pokazać swą siłę Sejmowi i krajowi, bynajmniej silny nim nie jest. Mógłby nim być jedynie wówczas, gdyby opierał się na mocnym, nowym prądzie opinji. Tymczasem siłę swę czerpie z marszałka Piłsudskiego. Ulegać musi jego woli we wszystkiem, także w sprawach finansowych. Po dotychczasowych doświadczeniach jest rzeczą jasną, że w sprawach wewnętrznych obecny minister wojny przemyślanego i konsekwentnego programu nie posiada, bowiem te zagadnienia są obce jego umysłowi, a jego otoczenie w tej dziedzinie cechuje przerażająca naiwność. Jeżeli poprzednim rządom zarzucać było można słusznie brak jednolitości, wywołany rozbieżnemi wpływami partyjnemi, i wskutek tego brak programu i bezwładność, to taki sam zarzut stosuje się

i do gabinetu p. Bartla. Ministrów łączy tylko to, że są „piłsudczykami“ i słuchają decyzyj ministra wojny. Dyktatora marszałka Piłsudskiego w ukryciu utrzymać się nie da. Również nie daje się zataić fakt, kto ten rząd popiera. Wprawdzie w bardzo dogodnej ze względów oportunistycznych tradycji lewicy leży, aby nie przyznawać się do popierania rządu, wywierając nań wpływ zakulisowy. Jednak w czasie debaty budżetowej w Sejmie ujawniło się, że tylko lewica darzy rząd swem zaufaniem. Coprawda nie jest zadowolona ze zbyt mało radykalnej polityki rządu, ale rozgoryczenie z tego powodu, tak silne w pierwszym okresie po przewrocie, już znikło, a tymczasem tajemne nici, łączące przywódców lewicy z grupą rządzącą, z powrotem zostały nawiązane.

Opozycja Sejmu przeciwko powiększeniu wydatków nie znalazła prawnego wyrazu. Większość Sejmu, bojąc się skoku w ciemność w razie obalenia rządu, nie zdecydowała się na żadne pozytywne obcięcie prowizorjum budżetowego, chociaż go jawnie w wysokości przez rząd proponowanej uchwalić się wzdragała. Ale — jak mówiliśmy na początku — okazało się, że lawirowanie w pewnych okolicznościach może być udaremnione. Gdy trzeba było wyraźnie w głosowaniu pochwalić lub potępić politykę dwóch ministrów, którzy najjaskrawiej zaznaczyli „nowy kurs“ w swych ministerstwach, ogromna większość uchwaliła votum nieufności min. Sujkowskiemu i Młodzianowskiemu. Według Konstytucji musieli się oni podać do dymisji. Rząd p. Bartla, który z niewyjaśnionych dotychczas powodów, może zbyt ufając w powolność Sejmu, zachowywał się wobec wniosku odnośnego biernie, w całości z powodu wyniku głosowań podał się do dymisji. O składzie nowego rządu zdecydował oczywiście marszałek Piłsudski. W Druskienikach przeważył pogląd, że liczenie się z konstytucyjnemi uprawnieniami Sejmu poderwałoby autorytet rządu i że powagi Państwa wobec ludności nie podkopuje poniżanie Sejmu, który przecież, jakikolwiek jest jego skład osobisty, jest trwałą instytucją, organem Narodu. Sejm ma być skopany, dać upokarzający obraz upodlenia ducha. W obawie przed utratą mandatów i djet ma pokornie odwołać swą uchwałę i wyrazić zaufanie ministrom Sujkowskiemu i Młodzianowskiemu. Pogróżki pozbawienia korzyści, płynących z mandatu poselskiego, pogróżki zmiany stosunku rządu do postulatów przemysłowców i ziemian, jakiemi rozbrzmiewa prasa, oddana rządowi, świadczą, iż dla niego rozwiązanie Sejmu obecnie nie byłoby korzystne. Ale świadczy też, jak „odrodzenie moralne“ ceni wartości moralne. Rząd wobec zagadnień gospodarczych nie ma, zdaniem tych mentorów społeczeństwa, kierować się potrzebami państwa, ani jakiemiś zasadami, ma się posługiwać polityką gospodarczą, jak batem na zuchwałych niewolników. A triumf rządu nad Sejmem ma być połączony z upodleniem wybranych przedstawicieli społeczeństwa. Nie powstała widocznie w sumieniach odrodzonych troska, jaki wpływ uszlachetniający na szerokie rzesze miałby taki przykład ratowania zysków materjalnych jednostek za cenę pohańbienia godności.

B. W.

SPRAWY ZAGRANICZNE

SZCZĘŚLIWY z nas kraj! Inne państwa w rejestrze swych dyplomatycznych poczynań zapisują naprzemian powodzenia i niepowodzenia, zyski i straty.

My jedyni, jeśli wierzyć urzędowym agencjom oraz „inspirowanym“ korespondentom, możemy pochlubić się samemi „sukcesami“, samemi „triumfami“, samemi „korzyściami“. Wprawdzie „sukcesy“ nasze mają naogół charakter czysto uczuciowy („powszechnie zaznaczają... sympatję, jaką umiał zdobyć min. Zaleski“, „stanowisko Polski spotkało się z ogólnem uznaniem“ i t. p.), wprawdzie opinja ogółu, jeśli chodzi o stosunek Polski z Ligą Narodów, chętnie widziałaby w nim mniej serdeczności, a zato więcej... stałości... Ale nasza „wewnętrzna propaganda zagraniczna“ jest niezmordowana. Wszak nawet z faktu, że przedstawiciel Polski nie wybrany został do prezydjum Zgromadzenia Ligi, ani też nie otrzymał przewodnictwa w żadnej komisji, Pol. Ag. Telegr. uczyniła niemal... sukces min. Zaleskiego, twierdząc, że tym sposobem uzyskał on „całkowitą swobodę działania“. O biedna Francjo, Angljo, Italjo, zawsze „skrępowane“, zawsze „pozbawione całkowitej swobody działania“ na terenie Ligi!

Ostatecznie Polska otrzymała w Radzie Ligi trzyletnie miejsce niestałe oraz prawo do ponownego wyboru, jeżeli po trzech latach ponownie zdobędzie dla swej kandydatury poparcie większości głosów. Te same „korzyści“ zostały zaproponowane Hiszpanji, która je odrzuciła, jako niedostateczne i zgłosiła wystąpienie z Ligi Narodów. Tymczasem nasza prasa, popierająca politykę rządu, bez zajaknienia rozpisuje się równocześnie o „sukcesie“ Polski i o „zupełnej klęsce Hiszpanji“. Jakoś trochę brak dumy narodowej w ogłaszaniu za triumf Polski tego, co dla Hiszpanji było nędznym, z pogardą odrzuconym ochłapem.

Zresztą, chcąc ocenić obecną sytuację międzynarodową, nie trzeba zbyt wyłącznie wpatrywać się w to tylko, co dzieje się w „*Palais des Nations*“ albo w „sali Reformacji“ w Genewie. Sprawy najważniejsze rozstrzygają się gdzieindziej i to tak dalece, że jeśli nawet w Genewie przebywają decydujące o polityce europejskiej osobistości, to na istotnie ważne konferencje udają się gdzieindziej, np. do cichego, bardzo dogodnego dla „tajnej dyplomacji“, miasteczka Thoiry. Z komunikatów o „rozmowie“, jaką odbyli tam ministrowie spraw zagranicznych Francji i Niemiec, trudno wyciągać jakieś dalej idące wnioski, trzeba jednak zanotować fakt konkretny, jaki natychmiast potem nastąpił, a mianowicie dalsze zmniejszenie francuskiej armji okupacyjnej w Nadrenji. Polityka niemiecka pochlubić się może nowemi, realnemi zdobyczami.

Szef rządu włoskiego, Mussolini, i szef rządu rumuńskiego, jen. Averescu, również za rzecz ważniejszą, niż udział w obradach genewskich, uznali wzajemne spotkanie, jakie w tym samym właśnie czasie odbyło się w Rzymie. Rezultatem tego spotkania jest układ włosko-rumuński, dalszy etap w rozwoju polityki włoskiej, dążącej do wzmocnienia wpływu Włoch na Bałkanach. W bliskiej przyszłości oczekiwane jest spotkanie Mussoliniego z Chamberlainem, przyczem, jak donoszą dzienniki, omawiana będzie między innemi sprawa Tangeru. Wódz faszyzmu prowadzi swą akcję dyplomatyczną stanowczo i konsekwentnie, umacniając nieustannie siłę i znaczenie Włoch w polityce światowej.

Polityka wewnętrzna Czechosłowacji staje coraz wyraźniej wobec ważnych bardzo rozstrzygnięć. System rządów „koalicyjnych“ lub „urzędniczych“ przy ustroju parlamentarnym nie może utrzymywać się na stałe, a przy układzie narodowościowym kraju zarysowują się dwa wyjścia możliwe z sytuacji: albo oparcie rządu także na pewnych grupach z pośród mniejszości narodowych (np. agrarjuszy niemieckich pod wodzą d-ra Spiny), albo „faszyzm“. Przed kilku dniami centralny wydział wykonawczy czechosłowackiego stronnictwa demokracji narodowej powziął uchwałę, wyrażającą sympatję dla ruchu „faszystowskiego“. Ruch ten — w myśl rezolucji — nie powinien tworzyć odrębnego stronnictwa, gdyż zadaniem jego jest wzmocnienie stronnictw, dążących do zaprowadzenia silnej władzy i walka z żywiołami wywrotowemi.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

ROZPOCZĘCIE I WYPOWIEDZENIE WOJNY

ZAGADNIENIE wypowiedzenia i rozpoczęcia wojny, roztrząsane przez wielu badaczów w nauce obcej, w naszej obszernie omówione zostało poraz pierwszy przez p. Edwarda Muszalskiego w świeżo wydanej rozprawie p. t. „Rozpoczęcie i wypowiedzenie wojny w prawie państwowem i prawie narodów." Z tego względu praca ta zasługuje na uwagę czytelnika i recenzenta, jak niemniej z tego, że jest ona studjum sumiennem, badającem przedmiot — jak to zaświadcza w przedmowie prof. Z. Cybichowski — „gruntownie i w sposób naukowy i ciekawy."

Autor oświetla rzecz podwójnie: od strony międzynarodowo-prawnej i państwowo-prawnej. Konstrukcję prawniczą zagadnienia poprzedza przeglądem dziejów praktyki państwowej i wyłożeniem zmiennych w ciągu wieków i do dziś nie uzgodnionych poglądów teorji na sprawę wypowiedzenia wojny.

Z przeglądu praktyki państw wyciąga autor wniosek, że nie powstał przepis prawa zwyczajowego, narzucający państwom obowiązek wypowiedzenia wojny przed jej rozpoczęciem. Obowiązek taki powstać może wprawdzie w drodze umowy między państwami, lecz na wartość praktyczną takich umów autor patrzy sceptycznie.

Co do państwowo-prawnej strony zagadnienia, to organem, kompetentnym do wypowiedzenia wojny, jest naczelnik państwa albo przedstawicielstwo narodowe, zależnie od oparcia ustroju państwa na zasadzie suwerenności ludu lub suwerenności monarchy. Zasadniczy spór wywiązuje się dokoła strony międzynarodowo-prawnej: spór w którym chodzi właśnie o to, czy wypowiedzenie wojny przed rozpoczęciem działań wojennych jest obowiązkiem prawnym, czy też stanowi formalność zbędną, której wykonywanie jest, jak twierdzą niektórzy, przeżytkiem i donkiszoterją.

Głębszą przyczynę tej różnicy zdań widzi autor w „pozytywnem", względnie „negatywnem" ustosunkowaniu się badaczy do samego zjawiska wojny. W pierwszym bowiem wypadku autorzy „co do wskazań praktycznych w stosunku do wojny przeciwdziałają jej uchyleniu z rozwoju cywilizacyjnego, czy choćby unormowaniu, lub wątpią w skuteczność w tym kierunku wysiłków". W drugim „uwydatniają potrzebę ograniczenia i zniesienia wojen, a przynajmniej unormowania ich wybuchu i przebiegu". (str. 21, 22).

Sympatjami swemi autor stoi po stronie pierwszych, w studjum swem jednak nie zajmuje się wcale „ogólnem zagadnieniem wojny" (str. 22), nie twierdzi więc, że wojna podlega prawu, ani nie utrzymuje że jest ona tylko pewnym stanem faktycznym, który, ze względu na swój charakter szczególny, przepisami prawnemi regulowany być nie może. Uważa natomiast za swoje zadanie zbadać konsekwencje, do jakich prowadzić może każde z tych założeń. Postępowanie to nie nastręcza pod względem metodycznym wątpliwości. Ze stanowiska autora nie tłumaczy się zato wspomniany wyżej ryczałtowy podział autorów na „pozytywnie" i „negatywnie" ustosunkowujących się do wojny.

Jeśli podział ten oznaczać ma tylko to, że jedni sądzą, iż wojna podlega prawu narodów, inni zaś są przeciwnego zdania, w takim razie ta nowa terminologja jest niepotrzebna i nietrafna. Jeśli zaś chodzi tu autorowi (jak o tem wnosić można z jego napomknień) o coś więcej, mianowicie o to, że w stosunku do wojny zająć wypada stanowisko albo aprobujące, albo potępiające — mamy do czynienia z nieścisłością. Autor nie bada istoty wojny, nie zastanawia się nad tem, czy natura rzeczy, która różnie wygląda na różnych poziomach cywilizacji, różną gra rolę w różnych momentach dziejów, i co najważniejsza, dziś ma dla narodów znaczenie środka, a nie celu — pozwala na zupełnie jednolitą życzliwą lub nieprzychylną ocenę. Sytuacja się nie zmienia jeśli spojrzeć na wojnę, jako na zjawisko przyrodnicze, niezależne od woli ludzkiej. Wszak nikomu na myśl nie przychodzi ustosunkowywać się „negatywnie" lub „pozytywnie" względem deszczów, passatów albo pór roku.

Ale nieścisłość ta jest czemś zgoła ubocznem w pracy p, Muszalskiego i na tok jego wywodów prawniczych nie ma żadnego wpływu. Wspomnieliśmy o niej, gdyż sprawa zasadniczego stosunku do wojny jest tak ciekawa i ważna, że warto o nią potrącić choćby dla ubocznego wyjaśnienia jakiejś kwestji; dodać można, że dyskusja, o której wspomina w przedmowie prof. Cybichowski („Rozprawa p. Muszalskiego, przedstawiona seminarjum prawa publicznego, wywołała ożywioną dyskusję") obracała się niemal wyłącznie dokoła tej sprawy, przyczem referenta zaatakowali ostro studenci Żydzi, wypowiadający się zgodnie w duchu pacyfizmu zachodniego.

Punktem ciężkości tezy jest zagadnienie prawnego znaczenia wypowiedzenia wojny. Ocena tego znaczenia zależy, jak to uwydatnia autor, od poglądu na prawną naturę wojny. Konsekwencją przeciwstawnych poglądów na wojnę będą biegunowo różne zapatrywania na znaczenie prawne wypowiedzenia wojny.

A więc z założenia, że wojna jest stanem faktycznym, nie zaś prawnym, wynika, że początkiem tego stanu może być tylko działanie wrogie, lub przynajmniej zamiar działania wrogiego między państwami. „Jeśli brak tego zamiaru, wypowiedzenie jest bez znaczenia, nic nie ustanawia a stwierdza stan przeciwny rzeczywistości, niemożliwy lub nie istniejący. — Jeśli ten zamiar, będący *essentiale* stanu wojny, istnieje wypowiedzenie jest zgodne z tym zamiarem, uzewnętrznia go, deklaruje, bynajmniej nie ustanawia... *ma więc wogóle wypowiedzenie charakter deklaratywny* przy pojmowaniu wojny powyższem" (str. 175). Zgodnie z niem wypowiedzenienie tworzy stan wojny nawet wówczas, gdy poprzedziło kroki nieprzyjacielskie; nie tworzy go, gdy jest równoczesne z ich początkiem; nie tworzy go tembardziej, gdy jest późniejsze od pierwszych kroków nieprzyjacielskich. Jednakże w pierwszym wypadku nie jest pozbawione pewnych skutków prawnych: skończył się pokój, nie zaczęła się wojna, trwa tymczasem *stan odosobnienia*. Jako przykład tego stanu, przytacza autor stosunki między Polską a Litwą w latach 1918 — 1925, i między państwami Europy Zachodniej, a Rosją Sowiecką w tymże czasie.

Pojęcie tych wszystkich poszczególnych stanow: pokoju, wojny i odosobnienia nie byłoby zatem ściśle prawne, lecz raczej opierałoby się na analogji z dziedziną fizyki: pokój byłby tu niejako odpowiednikiem kontaktu pokojowego, wojna kontaktu wrogiego, a stan odosobnienia odpowiadałby brakowi kontaktu między państwami.

Hypoteza stanu odosobnienia staje się niepotrzebna, skoro przyjąć założenie, że wojna prawu podlega. Istotnie, uznać wówczas należy, że unormowaniu prawnemu podlega również początek wojny. w szczególności zaś prawo narodów uznać może wypowiedzenie wojny za moment jej wybuchu. Z tego punktu widzenia „wypowiedzenie wojny jednoczesne z działaniami wrogiemi, oraz wypowiedzenie... poprzedzające działania nieprzyjacielskie, albo tylko to ostatnie, ma charakter konstytutywny, ustanawiający..." (str. 176).

„O ile ten pogląd jest słuszny, czy zaś wypowiedziany poprzednio, możnaby rozstrzygnąć na podstawie przyjęcia definitywnie poglądu na wojnę, po głębokiem należytem zbadaniu, pojęć wojny wogóle..." Autor, jak powiedzieliśmy, pozostawia czytelnikowi wybór między obu poglądami. Samą zaś pracę „zbadania istoty pojęć pokoju i wojny" zamierza autor podjąć w przyszłości, dziedzina tych zagadnień stanowi najwidoczniej główny przedmiot jego zainteresowań naukowych.

W. J. C.

PACHNĄCA KSIĄŻKA

„Trzecie wydanie"! Niewielu autorów może dziś w Polsce poszczycić się takiem zaznaczeniem na tytułowej karcie swej książki. A jest to wypadek tem rzadszy, że „Cud Wisły" A. Grzymały—Siedleckiego nie jest ani pornograficznym przysmakiem, ani okultystyczną bajką, ani tumanem tęczowej mgły, zwijającej się w niebosiężne szczyty i bezdenne przepaście a będącej w rzeczywistości tylko rozwiewnym oparem. Myśli i uczucia tak gniją i tak wyziewają cuchnące wonie, jak ciała. Między ludźmi są gatunki, które, jak hyjeny, lubią spożywać tylko duchową padlinę; są inne, które lubują się w ostrych pachnidłach literackich. Tym amatorom nic nie daje G. Siedlecki. Jest to talent wielki, zdrowy i urodziwy, z jego pióra nie spływa ani opium, ani wstrętna paczula, lecz wonny olejek kwiatów barwnych i rodzimych. Jego serce nie bije ani w takt pulsu białej gorączki bredzących opojów, ani w takt pulsu czerwonej gorączki paralityków sekciarskich, ani w takt niewymacalnego pulsu utopistów kosmopolitycznych, lecz w rytm tętna narodu. Serce też jest w jego utworach siłą najczynniejszą, a może w żadnym tak dalece, jak w tym zbiorze z natury malowanych obrazków udziału wojska polskiego w ostatniej wojnie. Nie jest to opowieść ciągła, lecz szereg luźnych scen i opisów, przedstawianych w oświetleniu serca. Autor, chociaż je kreślił jako korespondent wojenny dziennika, oszczędza czytelnikowi zarówno pożyczonych, jak własnych wywodów strategicznych, nie zanudza go szczegółowemi opowiadaniami o pochodach i bitwach, unika nagan i morałów, nie przeciwstawia złych wodzów dobrym, nie wysuwa na pierwszy plan faworytów a na ostatni — niesympatycznych. Wszyscy dowódcy są dla niego dzielni — jednako Haller, Sikorski, Muśnicki, Piłsudski, któremu na równi z innymi przypina order waleczności. Ale najszerszym i najgłębszym potokiem wylewa się jego podziw, zachwyt, miłość dla żołnierzy polskich, zwłaszcza dla młodych ochotników. W tych już rozkochany od pierwszej do ostatniej stronicy, nawet wtedy, kiedy w nich dostrzega chwilowe osłabnięcie bohaterstwa w zmęczeniu i udręczeniu. Wogóle G. Siedlecki pisze swoją opowieść tak, jak gdyby nie wiedział o żadnych stronnictwach, sporach, kłótniach, różnicach poglądów i dążeń, jak gdyby w jego duszy znikły odbicia wszystkich mroków życia rzeczywistego i jaśniała w niej tylko świetlana Polska. Jego książka pachnie jak bukiet ślicznych i miłych kwiatów. Więc nie dziwno, że ją wydano trzykrotnie.

A. Ś.

Z MIESIĘCZNIKÓW

„Lud", organ Polsk. Tow. Etnol. we Lwowie, t. XXIV. Skład główny Ossolineum. Lwów. W ostatnim zeszycie prof. Al. Brückner omawia pomnikowe dzieło czeskiego archeologa Lubora Niederlego o starożytnościach słowiańskich. Prof. Brückner bada krytycznie to, co szczególnie może interesować ludoznawstwo, polemizując z Niederlem co do pierwotnego miejsca pobytu Słowian w Europie, upatrując je od czasów Herodota gdzieś między Odrą a Wołgą, nie na Łużycach. Referuje następnie o terenach, florze i faunie pierwotnej Słowiańszczyzny, o jej oddaleniu od wielkich szlaków kultury i ubóstwie. Dowiadujemy się wielu szczegółów o materjalnej i duchowej kulturze Słowiańszczyzny, niestety, bardzo skromnej, o ile chodzi o zdobnictwo, mity i kulty. Ciekawy jest wniosek, że o „jednocie rasowej słowiańskiej nie można mówić", że dwójdzielność wschodnio-zachodnia była odwieczna. Prof. Bystroń analizuje kilkanaście powiedzeń przysłowiowych. S. Udziela opisuje drobiazgowo pasy wieśniaków polskich z południa Małopolski z uwzględnieniem folkloru. T. Seweryn podaje obfity materjał do znajomości hafciarstwa ludowego („Hafty Opoczyńskie"), wychodząc z założenia, że w nich „objawiają się typowe, plemienne pierwiastki duszy ludowej". Rzecz ciekawa i dla nie-fachowców, podobnie jak studjum prof. L. Kozłowskiego „Problemat rozwoju formy w prehistorji", ze stanowiska, zwalczającego „linearny sposób ujmowania zjawisk przedhistorycznych". Ważne jest tu powoływanie się na pogląd, że „podobnie jak kultury współczesne ludów cywilizowanych tak samo kultury przeddziejowe posiadają charakter mieszany. Pojęcie „czystej" kultury musimy dziś uważać za nieistniejące".

W. Sochniewicz podaje projekt organizacji badań nad historją procesów o czary. M. Wawrzeniecki przytacza wysoce ciekawy dokument sądowy w sprawie o czary z r. 1684.

Polemiki, recenzje i kronika dopełniają całości.

*

„Przegląd Filozoficzny" Rocznik 29 w 1926. B. Rutkiewicz w rozprawie „Pojęcie organizmu i Hylemorfizm" ujmuje problem organizmu ze stanowiska naukowego i filozoficznego. Pojęcie organicznej całości, jako widowni działań wyłącznie fizyko-chemicznych sił, nie da się utrzymać. Celowe tendencje widnieją wszędzie. Należy przypuścić istnienie sił witalnych. Autor próbuje zastosować koncepcję biologów katolickich „hylemorfizmu", t. j. zasady działania sił, organizujących formy i funkcje ustrojów.

St. Ossowski daje obszerne studjum: „Analiza pojęcia znaku". Rzecz dla specjalistów.

P. Chomicz długoletni badacz filozofji Hoene-Wrońskiego rozważa „Byt i wiedzę, jako elementy rzeczywistości w filozofji absolutnej Hoene-Wrońskiego".

Największy filozof polski był jednym z najtrudniejszych do zrozumienia i pozostanie chyba takim. Chomicz usiłuje system Wrońskiego zbliżyć do naszej umysłowości. W myśl Wrońskiego tłumaczy nam: „stałość wszechświata i specjalne ustalenie rzeczywistości stanowi byt. Określenie wszeświata i specjalne wytworzenie rzeczywistości stanowi wiedzę. Rzeczywistość sama wszechświata stanowi neutralizację bytu i wiedzy o rzeczach".

Studjum Fr. Stopy: „Stanowisko filozoficzne Karpińskiego" jest niezwykle interesujące. Śpiewak Justyny był doktorem nauk wyzwolonych i bakałarzem teologii. W swych rozprawkach moralno-filozoficznych przejął się ówczesnemi poglądami Russa, Diderota, Helwecjusza i modyfikował je na swój sposób.

Monadologja, uznanie dla instynktu moralnego, apologja miłości jako czynnika eudemonizmu, fizjokratyzm, mistyczny monoteizm, metampsychoza, przeczucia mesjaniczne — oto składniki tej pięknej polskiej myśli, torującej, zdaniem autora, drogę nawet Mickiewiczowi. „Skromny filozof z Kraśnika wydeptał myśli polskiej kilka nowych ścieżek".

W dziale recenzyj i sprawozdań brak streszczeń z odczytów w Pol. Tow. Psychol. Szkoda: było wśród nich dużo ciekawych dla ogółu, a dziś chyba i filozofom nie należałoby gardzić tak godziwym środkiem agitacyjnym, jak—zainteresowanie czytelnika.

*

„Przegląd Powszechny" miesięcznik poświęcony sprawom religijnym, kulturalnym i społecznym T. 171, № 515. Kraków, 1926. Ks. A. Bukowski kreśli w szkicu „Reinkarnacja dusz ludzkich według starożytnych pisarzy chrześcijańskich" wysoce zajmującą historję wierzeń w metampsychozę, począwszy od Indyj po przez Grecję. Upaniszady, Buddyzm, Pytagoras, Empedokles, Orficy, Platon, Gnostycy, Klemens Aleksandryjski, Orygenes — oto łańcuchy mniej lub więcej stanowczych idej i przeczuć o wędrówce i przewcieleniu dusz. Studjum niezwykle interesujące ze względu na żywotność podobnych idej w pewnych kołach społecznych.

Jan Kucharzewski daje rozdział o Aleksandrze II ze swego II tomu „Od białego caratu do czerwonego".

Obszerne sprawozdanie z Kongresu Eucharystycznego w Chicago pióra ks. Matrela informuje nas o wspaniałości obchodu, w którym uczestniczyło blizko miljon ludzi.

K. Przewłocki daje dokończenie „Rzeczy o Wagnerowskim Parsifalu". Jest to głęboko odczute streszczenie arcydzieła - misterjum, niestety, zbyt u nas mało znanego.

Artykuły o „czasie pracy ze stanowiska ekonomji i etyki", o Ulryku Hozjuszu, wreszcie sprawozdania zamykają ciekawą całość.

K.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Pamięci Kasprowicza. Dzienniki donoszą, że Rada miejska m. Inowrocławia uchwaliła w dniu 13 b. m., iż na cokole przed szkołą wydziałową przy ul. Pakoskiej ustawione będzie popiersie wielkiego syna Kujaw — ś. p. Jana Kasprowicza. Inicjatorem tego projektu jest „Dziennik Kujawski". Jak wiadomo, Kasprowicz uczył się w Inowrocławiu od r. 1870 do 1880.

Skądinąd dowiadujemy się, w Zaleszczykach na jednej z ulic, gdzie lato spędził Kasprowicz w domu notarjusza Czermaka, ma stanąć kapliczka, poświęcona pamięci Kasprowicza. Kasprowicz (było to w r. 1899) napisał tam w Zaleszczykach hymn „Święty Boże, święty mocny". Kapliczka wykonana będzie wedle rysunku znakomitego malarza Władysława Jarockiego, który też doglądać będzie wykonania artystycznego kapliczki.

W Teatrze Polskim w Poznaniu odbyła się 26 września uroczysta akademja na cześć Kasprowicza. Jako prelegenci wzięli w niej udział prof. Tadeusz Grabowski i red. Zygm. Wasilewski.

*

W zeszycie obecnym ogłaszamy urywek z pamiętnika żony Kasprowicza. Jako przyczynek do wyznań poety zamieszczamy tutaj wierszyk, nadesłany przez p. Kasprowiczową, a wypowiedziany jako żart przez poetę na parę dni przed śmiercią po ciężkim ataku sercowym. Oto jak żartował poeta ze swego losu:

A Pan Jan
Z tego znan,
Że choć już
Tylekroć na śmierć się zbierał,
To jednakże ani rusz
Nie umierał!

*

Jeden z najbardziej zasłużonych Polsce dzienników, „Kurjer Poznański", obchodził przed kilku dniami dwudziestolecie swego istnienia. Uroczystość ta zbiegła się z faktem dla dalszego rozwoju pisma nader doniosłym, a mianowicie ponownem objęciem stanowiska redaktora naczelnego przez dra Marjana Seydę, jednego z założycieli „Kurjera", późniejszego członka Komitetu Narodowego w Paryżu i ministra spraw zagranicznych.

W numerze jubileuszowym (z dn. 20 września) zasłużony dyrektor wydawnictwa, Roman Leitgeber, skreślił dwudziestoletnie dzieje pisma, zaś nowy redaktor naczelny, dr. Seyda, zamieścił piękny artykuł programowy p. t. „Główne zadanie". „Do dwóch źródeł" — pisze — „rozpasania się egoizmów przy równoczesnej bierności bardzo znacznej części społeczeństwa — sprowadzają się nieomal wszystkie grzechy i błędy dzisiejszego naszego pokolenia. Zahamowanie trucizny z tych źródeł płynącej, oto główne zadanie na chwilę bieżącą. W tym wielkim wysiłku przypada ziemiom zachodnim szczególnie ważna rola. Dalecy od pesymizmu i sceptycyzmu, budując wyłącznie na twórczym krytycyzmie i nieprzepartem dążeniu do postępu i rozwoju zbawiennych sił w narodzie, pozostawiamy sennych i letnich ich drzemce i letargowi, a do pójścia z nami wzywamy żywych i do życia się rwących".

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Ukazał się drugi i ostatni tomik „Współczesnej Encyklopedji Politycznej", opracowanej przez prof. dra Antoniego Peretiatkowicza. Rzecz pisana przystępnie, utrzymana w tonie najściślejszego objektywizmu, jest — jak zaznaczono w tytule — „podręcznym informatorem dla czytelników gazet", trzeba dodać: informatorem ścisłym i wszechstronnym. „Encyklopedja" zawiera objaśnienia zasadniczych pojęć prawno-politycznych, najważniejsze dane polityczne, ekonomiczne i statystyczne, dotyczące państw współczesnych, informacje o partjach, prasie polskiej i obcej oraz życiorysy polityków współczesnych.

*

Nakładem księgarni Fiszera i Majewskiego w Poznaniu ukazał się „Nowy tekst Konstytucji Polskiej", uzupełniony tekstem „Ustawy o pełnomocnictwach". Krótki wstęp historyczny napisał prof. dr. Antoni Peretiakowicz. Jest to jedyne dotychczas wydanie tekstu Konstytucji, z uwzględnieniem zmian, wprowadzonych po przewrocie majowym.

*

„Filozofja estetyczna", Hoene Wrońskiego w przekładzie Jankowskiego, wyszła w № 3 czasopisma „Astrea"; wyjęta ona z obszernego dzieła Wrońskiego p. t. „Nemotetyka". Tłumacz, idąc za Wrońskim, daje takie określenie piękna: Piękno jest harmonją subjektywną, zbiegiem celowym wiedzy i bytu, subjektywnej i objektywnej strony istoty człowieka, uczucia jego i poznania, ciała i ducha, iskrą jakoby, powstającą z chwilowego złączenia się dwu prądów sprzecznych w człowieku, niecącą światło i przedujmującą w dziele okazanem ideał, tożsamość dwu tych władz, jedność Prawdy i Dobra, rzeczywistość najwyższą, Absolut. Uprawa tej iskry jest właśnie sztuką, lub w lepszem ujęciu, twórczością.

U SŁOWIAN

Obecnie święcił swe 75 urodziny Alojzy Jirasek, największy czeski powieściopisarz historyczny. Urodzony w Hronowie dnia 23 sierpnia 1851 r. w ubogiej rodzinie rzemieślniczej, jako piętnastoletni chłopiec patrzył w r. 1866 na walki między Prusakami a Austrjakami, co nie pozostało bez wpływu na genezę późniejszych obrazów batalistycznych w jego powieściach. Gimnazjum przechodził zrazu niemieckie, następnie czeskie w Hradcu Kralowe, gdzie też wyrobiło się w nim poczucie silnego patrjotyzmu. Studja uniwersyteckie odbył w Pradze w latach 1871—1874 poświęcając się historji. Następnie był nauczycielem w gimnazjach, po pewnym jednak czasie oddał się wyłącznie powieściopisarstwu. W latach wojennych i bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości zajmował się pracą społeczno-narodową, był posłem i senatorem.

Niezwykle bogata twórczość Jiraska pozwala go nazwać czeskim Kraszewskim (ponadto pracował Jirasek z powodzeniem jako dramaturg). Z niezwykłem wczuciem się w epokę, przedstawianą nader żywym stylem, dał Jirasek szereg powieści historycznych o trwałej wartości. Głównie zajmuje się epoką wojen religijnych i epoką odrodzenia narodu w XIX wieku. Z pierwszego działu najgłówniejsze są dzieła: „Psohlavci" (1886), trylogja „Między prądy" (1886—1890). „Przeciwko wszystkim" (1894), „Braterstwo" (1899—1908), — z drugiego pięciotomowa powieść „F. L. Vek" (1888—1905).

*

Ukazała się niedawno w Bratislavie praca prof. A. Prażaka p. t. „*Slovenska svojskost*" (słowacka swojskość; wyd. „Academie", Bratislava 1926). Książka ta m. i. omawia kulturalne związki polsko-słowackie. W literaturze są one dosyć silne za czasów Ludvika Stura (1815—1856). Wpływy literatury polskiej dają się zauważyć u wielu pisarzy, jak: S. Chalupka, M. M. Hodża, L. Stur, A. Vrchovsky; czerpią oni przedewszystkiem z Mickiewicza, również z Malczewskiego i Goszczyńskiego. Tak samo filozofja polska znajdowała badaczy wśród Słowaków; Zaboj Hostinsky, P. Hecko, S. Ormis studjowali Libelta, Trentowskiego i Cieszkowskiego. Polonofilizm u Słowaków w pierwszej poł. XIX stulecia wypływał z sympatyzowania ich z polskim romantyzmem, S. Chalupka, J. P. Bella i J. Sehocky wzięli udział w polskiem powstaniu 1830 r., o którem tworzył wiersze L. Stur. Późniejszy okres pod wpływem rusofilizmu największych poetów słowackich Sv. Hurbana Vajanskiego i P. Orszagh—Hviezdoslava o wiele mniej wykazuje łączności z kulturą polską, dla której zainteresowanie budzi się ponownie w XX stuleciu.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ostatnia praca p. Nesty H. Webster, autorki cennego dzieła o tajnych stowarzyszeniach i ruchach wywrotowych, jest encyklopedją wiadomości o rozsianych gęsto po całym obszarze Anglji i wywierających niemały wpływ na jej politykę organizacjach socjalistycznych, pacyfistycznych, teozoficznych, „chrześcijańskich", humanitarnych i t. d. Odpowiednio do tego książka nosi tytuł „Sieć socjalistyczna" („*The Socialist Network*", *The Boswell Printing and Publishing Co., 10 Essex Street, Strand, London*). Zaopatrzona jest w indeks nazwisk i stowarzyszeń, listy skróceń z ich objaśnieniem, i tablicę, dającą obraz całości „sieci socjalistycznej", unaoczniającą związki między poszczególnemi stowarzyszeniami i będącą zarazem ich drzewem genealogicznem. Dzięki temu służyć może jako nader praktyczny przewodnik-informator.

Poprzednie studja autorki nad rewolucją francuską, rewolucją światową i tajnemi organizacjami pomogły jej przy opracowywaniu tego przewodnika, aczkolwiek omówione są w nim tylko stowarzyszenia jawne. Pierwsze rozdziały traktują o wrzeniu rewolucyjnem przed wojną, dalsze o działalności socjalistów i pacyfistów angielskich oraz amerykańskich czasu wojny światowej. Działania te były, jak wiadomo, wodą na młyn niemiecki. Po przedstawieniu stosunku trzeciej międzynarodówki do bolszewizmu rosyjskiego autorka daje historję „bolszewizowania się" Anglji powojennej. Partja komunistyczna powstała tam w sierpniu r. 1920, w Irlandji zaś na rok przedtem. Związki zawodowe uległy wpływom żywiołów skrajnych. Rzecz doprowadzona jest aż do wybuchu strajku generalnego w maju r. b. Dalsze rozdziały mówią o zamaskowanych organizacjach komunistycznych, o pacyfizmie powojennym, o socjalistycznych organizacjach młodzieży, wreszcie o socjalistycznych tendencjach we współczesnej angielskiej sztuce, literaturze, pedagogice i nawet w sferze ruchów religijnych.

*

W paru ostatnich zeszytach (lipiec, sierpień b. r.) miesięcznika „*L'Europa Orientale*" zostały umieszczone następujące prace dotyczące rzeczy polskich: N. Nucci „*Gli ultimi anni di un poeta attraverso le lettere di una donna*" (Ostatnie lata Z. Krasińskiego na podstawie listów jego żony). I. Michałowski „*La Polonia dopo le spartizioni e l'idea dell'indipendenza*" („Polska po rozbiorach i idea niepodległości"), pozatem sprawozdania z książki p. Dorożyńskiej „Na ostatniej placówce" (O Skarbek—Tłuchowski) z Z. Grodeckiego i S. Zachorowskiego „Dziejów Polski Średniowiecznej", oraz z książki p. Menotti Corvi „Italja Współczesna".

TEATR

SEN SREBRNY SALOMEI

W TEATRZE Narodowym wystawiono przy reżyserji nowego kierownika sceny, p. Teofila Trzcińskiego, grywany już w Krakowie i Lwowie „Sen srebrny Salomei", pięcioaktowy „romans dramatyczny" Juljusza Słowackiego. Ze względu na zawiłość akcji pozornie realistycznej, właściwą jednak wykładnię mającej w symbolice, ze względu na bujność słowa poetyckiego, a zwłaszcza na przepojenie obrazów pierwiastkiem mistycznym — dzieło to należy do najtrudniejszych zagadnień scenicznych. Historycy literatury, uskarżający się na niezrozumiałość intencji autora i dziwne niesharmonizowanie tragicznej treści z komedjowym zakrojem sztuki, mogli reżyserowi odebrać odwagę. Czy publiczność rozgryzie orzech tak twardy nawet dla „dziadka", jakim jest historyk literatury? I czy teatr znajdzie sposób rozwiązania trudności?

Odwagę częstokroć daje sama nieświadomość niebezpieczeństwa. „Sen srebrny" piękny jest w barwie słowa

i ładnie się śpiewa w czytaniu. Tak też odegrano, wspierając słowo obrazem realistycznym osób i gestu. Nie posunięto wszakże ani na krok rozwiązania zagadki, co właściwie Salomei się śniło i jak ten seu Słowacki rozumiał. Bo przecież z tego założenia tr eba wychodzić, że jest człowiek, który dzieło rozumie, choćby go nikt nie rozumiał, mianowicie sam autor.

Teatr do interpretowania myśli zasadniczej — jeśli ją spostrzeże — może użyć zespołu środków pomocniczych. Reżyserowi i artystom słowa przyszli z pomocą: muzyk (p. Adamus) i artysta malarz (p. Drabik). Ale ta koalicja nie otrzymała wskazówki, do czego ma zmierzać, co ma zdobyć, gdzie sobie rękę podać. Słowo poetyckie było romantyczne, z połowy XIX stulecia, zdarzenia dramatu pochodziły z końca XVIII w. (1768), kostjumy były historyczne, zupełnie realistyczne, aktorzy robili ludzi prawdziwych z prawdziwego zdarzenia. Muzyka zupełnie nowożytna i mile brzmiąca wytwarzała nastroje na sali, ale darmo byłoby barwy tego nastroju szukać w odpowiednich scenach w grze aktorów. Dekoracje dorobiono tak, jakby ich twórca poematu samego nie czytał a czerpał wskazówki od rekwizytorów: tu ma być las, tu woda, tu gwiazdy, tu cerkiewka. P. Drabik historycznym obrazom Słowackiego dał oprawę w języku malarskim „esperanto", odczynionym z pierwiastków realistycznych. Tak można dekorować lokal Lidze Narodów, ale nie Słowackiemu, który swój gmach, po Calderońsku coprawda zbudowany, usiłował wystylizować po ukraińsku, a nadomiar dał mu swoją własną dekorację jasną i barwną, mieniącą się od srebra, złota, korali i krwawej posoki. Teatr najbrutalniej zignorował nastrój malarski dzieła; krajobrazy zasępił brudnemi i brzydkiemi w linjach kadłubami. Dekoracje nie tylko nie pomagały do wywołania nastroju, ale były największą przeszkodą dla oka i umysłu. One odebrały przedstawieniu wartość, jako dziełu myśli artystycznej. Myśli tej widocznie nie było.

Gra artystów była popisem świetnych talentów. Regimentarza Stempkowskiego grał M. Frenkiel, Semeńkę — Węgrzyn, Wernyhorę — Solski, Księżniczkę — Zahorska, Salomeę — Gromnicka, Sawę — Leszczyński, Pafnucego (franciszkanina) — Brydziński, Leona Stempkowskiego — Szymański, Gruszczyńskiego — Skarzyński.

*

Mógłbym na tem skończyć notatkę sprawozdawczą, ale czuję obowiązek wprowadzenia czytelników, interesujących się widowiskiem, w arkana historyczne samego dzieła literackiego. Krytyka zbyt pobieżnie je zbyła, a mogłaby, patrząc na utwór uplastyczniony, podzielić się swojemi spostrzeżeniami z historykami literatury. Tembardziej, że ci trochę skrzywdzili Słowackiego. Wogóle los tego dzieła, do którego poeta wiele wagi przywiązywał, był bardzo niefortunny. Krytyka literacka potępiła niejasność, rozwichrzenie, brak logiki. Nawet od najbliższych sobie ludzi doznał przykrości. Najukochańsza matka, Salomea Becu, której imieniem ochrzcił bohaterkę dramatu, odmówiła utworowi wartości; co gorsza przypomniała mu ostrzegawczo słowa Mickiewicza, który w poezjach Słowackiego widział świątynię bez Boga. Słowacki był przekonany, że właśnie Boga najgodniej uczcił tym poematem.

Słowacki, przystępując do pisania „Snu srebrnego" (listopad 1843) był opanowany wpływami z czterech źródeł: 1) był pod literackim wpływem pisarza hiszpańskiego Calderona — stąd rytm artystyczny „Snu" i styl, 2) pod wpływem wiedzy religijnej, nabytej w Kole Towiańskiego, do którego świeżo się zapisał. Stąd pierwiastek mistyczny w dziele omawianem i jego dwoistość (realizm i metafizyczność), 3) pod wpływem ukrainizmu Goszczyńskiego, który mu nastręczył materję historyczną, wreszcie 4) pod wpływem radykalizmu społecznego, zalatującego od Tow. Demokratycznego. Wszystko parło poetę w swoim kierunku i domagało się sharmonizowania. Dołączył do tych motywów chęć złożenia w tym utworze hołdu matce. Ale naczelny motyw czynu artystycznego, zawsze ten sam u Słowackiego — to żądza wirtuoza, opanowanego przedewszystkiem tem, co gorzało w jego wyobraźni i domagało się artystycznej realizacji.

Nie znamy w dziejach poezji (chyba potem St. Wyspiański) głowy twórczej, którąby tak uporczywie i tak jarząco gorzała obrazami. Tej wyobraźni swojej ani mógł zagasić, ani uchronić przed nią czegokolwiek, żeby w niej nie zgorzało na zasiłek poezji. W Calderonie przybył mu jakby nowy ruszt, nowa dla ognia podnieta. Cóż—zdawałoby się — pomyślniejszego dla poety? A jednak wówczas ta poetyckość stawała się dla człowieka dramatem. Słowacki był tak zbudowany psychicznie, jak określiłem, że był w niewoli u swej ciągle gorejącej wyobraźni poetyckiej. A tymczasem los wciągnął go w kadry pracy religijnej w Kole sprawy Bożej Towińskiego. I tu był dramat.

W religji odgrywa znaczną rolę pierwiastek wyobraźni, potrzebnej na to, aby Boga w i d z i e ć. Sąsiaduje on z wyobraźnią poetycką i łacno przez nią może być zużyty, jeśli człowiek nie potrafi przełożyć go na popęd działania w służbie religijnej ducha. Mickiewicz i Goszczyński, obaj ludzie z silną strukturą woli i czynu, przełamali się na typ praktyki religijnej, wyrzekając się poezji. Słowackiemu zrobiono w Kole zarzut, że owładnięty „ziemskiemi pojęciami chwały" (poetyckiej), nie zrobił ofiary z poezji swojej. „Przeciwnie, co zachwycił w chwilach egzaltacji (religijnej), tem wzmacniał swoją stronę ziemską w widokach ziemskich" (literackich).

Słowacki nie mógł nie być poetą. Nie powinien był wstępować do Koła. Miał przykład w Krasińskim i Zalewskim. Jednak wstąpił, drugą bowiem siłą fatalną jego losu był antagonizm w stosunku do Mickiewicza. Był niewolnikiem orbity Mickiewicza. Antagonizm tak wiąże ludzi, jak miłość. W każdym razie Słowacki chciał, żeby poezja jego przepojona była prawdą religijną, żeby w dramacie jego Bóg grał rolę główną. I to zrobił w „Śnie srebrnym". Wsłuchując się baczniej w słowa dramatu, wyczuwamy że myśl Słowackiego znajduje na ziemi Ukraińskiej tylko znaki zewnętrzne, któremi przemawia Bóg. Realizm postaci i zdarzeń jest tylko pozorny. To co na scenie wygląda personalnie, jest grą symbolów historjozoficznego znaczenia. Dramat postawiony jest tak, jakby go autor widział nie w trakcie wypadków, lecz z dalekości czasów, tak jak widać rzeczy ze stanowiska wieczności, ogarniającej czasy ludzkie jako jednoczesną scenę.

Chodzi tylko o to, czy ludziom dana jest od Boga moc takiego widzenia. Słowacki wziął z religijnych poglądów to przekonanie, że Bóg daje tę moc prorokom, „widunom", a takim wonczas na Ukrainie widunem był Wernyhora. Takim „widunem" w zakresie potencjalności w nieuświadomionych głębinach ducha jest zbiorowość narodowa, czerpiąca misję dziejową z ducha Bożego. Prorok każdy, a więc Wernyhora, jest wybrańcem Boga, wtajemniczonym w losy narodu. I tutaj zaczyna się historjozofja Słowackiego.

Bezpośrednio wyrozumiewając Słowackiego, a zwłaszcza zestawiając jego pomysły poetyckie ze źródłami, skąd czerpał, możemy niejasny zarys myśli przewodniej „Snu" jako tako sobie przedstawić. Kluczem zrozumienia głównej myśli są „Trzy wieszczby" Lucjana Siemieńskiego, wydane w Paryżu 1841 r. Siemieński przeprowadza tę myśl historjozoficzną, że misję narodu polskiego wypuścił z rąk monarchizm (proroctwo z czasów Zygmunta Augusta), nie podołała jej szlachta (pror. ks. Marka), nad gruzami państwa wschodzi gwiazda l u d u, który prawdę Bożą dziejów w swem łonie przechowuje (Wernyhora). Wernyhora Siemieńskiego przebywa na wysepce rzeki Rosi (jak Prospero w „Burzy" Szekspira)

i rozwiązuje sprawę ukraińską Polski w duchu pojęć tradycyjnych o miłości braterskiej dwu elementów etnicznych dla dobra wspólnej matki Ojczyzny. Słowackiego pogląd jest bardziej ludowładczy. Traktuje on również Ukrainę jako część integralną Polski, również regjonalnie, przyznawał prawa cywilizacyjne Polsce, ale z poddaniem ich prawu przyrodzonemu ludu do przetwarzania cywilizacji polskiej według typu własnego.

Społecznie Słowacki zradykalizował się pod wpływem doktryn Tow. Demokratycznego silniej, niż dawny chłopoman Goszczyński. Ten był już wówczas czystego typu nacjonalistą polskim i to wzmacniało w nim strunę religijną. Słowacki mieszkał razem z Goszczyńskim pół roku. Niewątpliwie staczali z sobą walki i wzajemnie się pouczali. Odgłosy tych rozmów widzę w rozprawach literackich Goszczyńskiego z owych czasów (O stanowisku poetów w społeczności, Z dziennika artysty) i w twórczości Słowackiego. „Ksiądz Marek" i „Sen srebrny Salomei" — to współpraca duchowa autora „Zamku Kaniowskiego". Goszczyński też był inspiratorem Siemieńskiego.

Słowacki już w „Grobie Agamemnona" (1839) zaznaczył, co myśli o rządach „rubasznych czerepów" szlachty. W „Śnie srebrnym" przedstawił szlachtę jako sferę skazaną na śmierć (Gruszczyński). Przedstawiciele azlachty: magnat regimentarz Stempkowski, jego syn Leon, Gruszczyński są niedostępni dla ducha Bożego, który się objawiał w prognostykach, snach, halucynacjach, przepowiedniach wszystkim innym. Są to ludzie straceni dla przyszłości, będącej w ręku Boga. Oni nie widzą znaków niebieskich, nie rozumieją, nie wierzą w nie, oddzieleni kastowo od „chłopów". którym duch Boży jest znany.

Postać Sawy, pół-chłopa, pół-pana, jest łącznikiem między cywilizacją polską i tą chłopską, drugim łącznikiem jest Salomea. Symbolizuje odrodzenie nowego pokolenia szlachty przez zbliżenie się do ludu. Lud zwraca ją z martwych w ręce potomka szlacheckiego, wyrzekając się buntu. Wernyhora poczytuje szlachtę za trupy, z nią nie chce gadać. Symboliczny dokument nobilitacji Sawy składa w ręce księżniczki Wiśniowieckiej, wtajemniczonej już od dzieciństwa w swoje dynastyczne posłannictwo. Ona jest ukrainką i prawowitą w oparciu o lud (Sawa) przedstawicielką idzielności ukraińskiej. Ksiądz franciszkanin Pafnucy (coś w rodzaju Robaka Miczkiewiczowskiego) uświęca przemiany powagą kościelną. Za tę cenę przystoaowania się uratowany został klejnot szlachectwa (pierścień symboliczny rodu) polskiej cywilizacji.

Jak widzimy z tego pobieżnego rozbioru Słowacki budował sztukę na dwa fronty, z których tylko jeden uwidocznia się w teatrze w realistycznem przedstawieniu zdarzeń ludzkich. Stąd utyskiwanie na brak jasności i logiki, stąd pomieszanie tragizmu z komedjowem sztuki zacięciem. Regimentarz, prowadzący akcję na scenie, sam nie świadom jest tego, co się dzieje. Jemu się tylko wydaje, że on kieruje, swata, wyrokuje. Wszystko to z góry było przewidziane. Losem ludzi kieruje Bóg, predestynując losy narodu.

Mamy więc w tej sztuce właściwie misterjum religijne na tle dziejów ojczystych. Ze stanowiska teatralnego, nawet literackiego, trzeba przyznać, że tak trudnemu zadaniu Słowacki samem mistrzowskiem słowem sprostać nie mógł. Zadanie przerasta środki sztuki scenicznej. Ile że samo to słowo jest zbytnio rozigrane i zbyt stłoczone w swojej nawalności. Stan ówczesny religijnego nastroju wyraził się w twórczości poety tem, że zluzował kontrolę świadomości artystycznej, która mu przedtem tak dobrze służyła. Uważał, że w natchnieniu religijnem prawda sama się wypowiada. Dla tego za dużo słów, za mało zaś uwagi artystycznej zwróconej na ten front realistyczny, którym dzieło prezentuje się publiczności.

Potrzeba wystawienia tego dzieła dzisiaj jasno się nie tłumaczy. Z. W.

NA MARGINESIE

Czytamy w „Expressie Porannym", że premjer Bartel po pobycie w Druskienikach oświadczył: „Zawiadomiłem Pana Marszałka, iż jestem ministrem w stanie dymisji, z czego jak i z wydarzeń ostatnich dni Marszałek ogromnie uśmiał się". Troska o dobry humor Marszałka była, jak wiadomo z niedyskrecyj prasowych, i przedtem już przedmiotem urzędowej korespondencji. Wszystko jest dobrze w Polsce, zdaniem wielbicieli, jeżeli Marszałek się śmieje. Życie polskie dostarcza tematu do uśmiania się, starają się o to nawet mężowie stanu. Szef rządu zapomina języka w Sejmie, sądzi potem, że formuje nowy gabinet z polecenia Prezydenta, aż oto w Druskienikach horyzont mu się wyjaśnia, gdy powitano jego raport śmiechem. Pogodny pogląd na wypadki jest ułatwiony, jeżeli patrzy się na nie, jak na pikantną farsę. Naprawdę zazdrościć trzeba wesołego nastroju; maj był radosny, zbliżająca się zima humoru nie psuje.

*

Zbliżony do sfer rządowych „Głos Prawdy", zdenerwowany świetną mową opozycyjną, wygłoszoną dn. 23 z. m. przez posła Jerzego Zdziechowskiego, temi słowy odpowiada na stawiane rządowi rzeczowe i umotywowane zarzuty:

„Znudzi nam się przecież w końcu ta monotonna zabawa, i za trzecim razem s k ó r ę p r z e t r z e p i e m y tak, cierpliwość straciwszy, że przez ruski miesiąc nie usiądzie obrońca praworządności za swoim „narodem".

Taki frazes o „przetrzepaniu skóry" warto zapamiętać. Przyjdzie czas, że przyda się jego przypomnienie. Zabawne jest tylko, że „publicystom", piszącym podobne artykuły, wydaje się, że mają gest... faszystowski. Tymczasem takie „gesty" najłatwiej spotyka się na Powiślu, na Czerniakowskiej. Ale trzeba się tam wybrać wieczorem.

*

Żydowski „Nasz Przegląd" donosi: „Jak się dowiadujemy, w poniedziałek dn. 20 b. m. minister oświecenia p. Sujkowski podpisał okólnik, w którym cofnął i unieważnił tajny cyrkularz min. Głąbińskiego, wprowadzający normę procentową wobec żydów na uniwersytetach".

Czy dla umożliwienia t e j r e f o r m y dokonany był krwawy przewrót majowy?

*

Dziennik „A. B. C." zaprezentował nam ministra spraw wewnętrznych p. Młodzianowskiego w mniej znanej ogółowi polskiemu roli, a mianowicie jako malarza, reprodukując jedną z karykatur, które obecny minister rysował w r. 1912 dla tygodnika krakowskiego „Abdera". „Gazeta Warszawska Poranna" przypomniała znów p. Młodzianowskiego, jako poetę, przedrukowując z tejże „Abdery" jeden z jego frywolnych wierszyków.

Spoglądając na te okazy złego smaku, z uczuciem prawdziwej ulgi myślimy o fakcie, że p. minister raz na zawsze, zdaje się, zaprzestał zajmować się i poezją i malarstwem. Tylko czemu ten kiepski malarz i nieudolny rymopis wziął się do polityki?

*

Jeden z głównych przywódców P. P. S. p. Tadeusz Hołówko porzucił katolicyzm dla „kościoła narodowego". Zapewne nie było w tem intencji charakteru religijnego. Sympatje lewicy do odszczepieństwa pochodzą stąd, że katolicyzm nie układa się — oczywiście! — w jej ramach, nie podporządkowuje się jej komendzie.

Okazuje się wszakże, że i kościół narodowy, który lewica traktuje jako stopień do zatracenia religji wogóle, swoje z lewicą przymierze uważa również za stopień — do... prawosławia. Poucza o tem świeży przykład samego „biskupa" ks. Huszny. Zresztą i w jednym z artykułów p. Hołówki jest mowa o jakiejś przyszłej religji, jednoczącej narody słowiańskie świata. Może to ma być owo „prawosławie obrządku zachodniego", nasza dawna unja naopak?

Bądź co bądź w tej inicjatywie ks. Huszny ujawnia się zastanawiająca przedsiębiorczość naszej cerkwi autokefalicznej. Niedość, że korzysta dotąd z prerogatyw, pozostałych po ustawach wyjątkowych caratu, stawiających ją w porównaniu z katolicyzmem, na kresach zwłaszcza, na stanowisku uprzywilejowanem, ale ma przynętę prawa rozwodowego, a i pośrednio poprzez szerzący się ruch sekciarski coraz dalsze osiąga zdobycze.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.
WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI
Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM